

Goethe
Faust

JOHANN WOLFGANG GOETHE

FAUST
TRAGEDIA

Przełożyła Ewa Dąbrowska

Tytuł oryginału

FAUST. EINE TRAGÖDIE

Projekt oprawy
Mieczysław Knut

Copyright for the Polish translation
Ewa Dąbrowska 2020

ISBN 978-83-959563-0-0

[Kup książkę](#)

W wysoko sklepionym, ciasnym, gotyckim pokoju Faust, niespokojny, w swoim fotelu przy pulpicie.

FAUST:

Już filozofię studiowałem,
i medycynę, prawo całe.
Z wysiłkiem i staraniem, z pracą.
I teologię też. I na co?
Wszak jestem – na to był mój trud -
tak mądry teraz, jak i wprzód.
Magister! Doktor! Pośród ksiąg
otacza mnie studentów krąg,
których od lat mój pewny głos
nie uczy – wodzi ich za nos!
I widzę, że nic! wiedzieć nie będzie nam dane,
to mnie boli, i boleć nad tym nie przestanę.
Wiem przy tym, że sprytniejszy się zawsze okażę,
niż klechy i doktorzy, magistrzy, pisarze.
Obca mi jest skrupułów i wahań udręka,
czarta ni kary wiecznej, piekła, się nie lękam.
Lecz za to są mi obce i radości cudze:
nie wiem nic prawdziwego, nie mam żadnych złudzeń.
Nie łudzę się, że uczę wartościowych rzeczy,
że ludzi mogę zmieniać, nawracać lub leczyć.
Wspaniałości ni chwały nie wydarłem światu,
nie mam ziemi, pieniędzy, nie mam złota szkatuł...
I pies nie miałby chęci na podobne życie!
Dlatego w końcu magii oddałem się skrycie,
by część tajemnic poznać wprost
przez ducha siłę, moc i głos;
bym się nie musiał męczyć tak,
ucząc, gdy wiedzy o czym brak;
bym poznać mógł, co scala świat,
co daje mu wewnętrzny ład.
W nasienie zajrzyj, w moc działania!
Dość w pustych słowach przebierania.

Żebyż ostatni padał raz
dziś na mój ból księżycy blask!
Blask, co w niejedną noc się lał
na księgi, które-m czytać miał.
A gdy wznosiłem wzrok znad ksiąg,
patrzałem w pełny, jasny krąg.
Gdybymż na góry szczyt wejść mógł,
brodzić wśród białych światła smug,
i, nie tkwiąc dłużej w ciała granicach,
wprząść się z duchami w światło księżycy,
kąpać się w jego srebrnych promieniach,
wolny od wszelkich cierpień sumienia!

Biada mi! Czy wciąż jeszcze tkwię,
w ciemnej, więziennej dziurze tej?
Nawet dnia światło z grubych szyb
sączy się mdło na stół i skrypt.
Ograniczony kupą ksiąg,
w których robaki lęgną się,
w które kurz i pot wieków wsiąkł,
które pod sufit piętrzą się;
wokoło puszek, retort skład,
narzędzi stos, palników, rur,
praojców ziół i maści zbiór -
to jest twój świat? To ma być świat?

I pytasz jeszcze, czemu lęk
jak drzazga w serce ci się wpił?
Czemu tak ból zniewala cię,
że brak ci do radości sił?
Bóg człowiekowi życie dał,
by wśród natury żywej żył;
ciebie - otacza ciasny zwał
kości i czaszek, proch i pył.

Uciekaj! Śpiesz daleko stąd!
Nostradamusa pism weź zbiór;
on w sedno rzeczy da ci wgląd,
przewodnik to jest twój i wzór.
Poznasz z nim bieg niebieskich gwiazd,
a gdy Natury wieczny głos
pouczy cię - poczujesz w czas
duchowej siły nagły wzrost.
Z duchami wtedy mówiłbyś
jak duch im równy; właśnie tak!
Na darmo tutaj sucha myśl
objaśnia ten czy inny znak.
Duchy, co wokół mnie krążycie!
Znak dajcie, jeśli mnie słyszycie!

Patrzy na znak makrokosmosu.

Ha! Jakąż rozkosz sprawia moim zmysłom
rysunek ten; ład na nim przedstawionych brył.
Jak gdyby źródło szczęścia w sercu mi wytrysło;
czyste szczęście pulsuje w każdej z moich żył.
Kto znaki te rysował? Czyżby jakiś Bóg?
One zamęt łagodzą, co duszę przewierca,
one radość wlewają do biednego serca,
pozwolą, bym Natury siły poznać mógł.
Czy Bogiem jestem? Tak mi lekko znów!
I gdy czystymi liniami wzrok sycę,
dusza w działań Natury wnika tajemnice.
Dziś dopiero pojmuję sens tych mędrca słów:

"Zamknięty nie jest przed tobą świat ducha;
to two serce jest martwe, a zmysły tkwią w śnie.
Swe ziemskie ciało musisz, mój uczniu, posłuchaj,
kąpać w porannym blasku przez two wszystkie dnie."

Przygląda się znakowi.

Jak ściśle jest sprzęgnięta rzeczywistość cała,
jak jedno w drugim żyje, jedno w drugim działa!
Siły nieba w dół schodzą, wchodzą wzwyż z powrotem,
wzajem sobie podają dzbany szczerozłote.
Są jak powiew, co, siejąc balsamiczne wonie,
przez ziemię na skroś z nieba nieustannie wionie,
kosmosowi nadaje brzmienie i harmonię.

Jakiż spektakl! - Niestety, tylko to akurat.
Gdzież da się schwycić, poczuć bezbrzeżna Natura?
I gdzież was dotknę, piersi, z których płynie życie,
u których zawieszone są ziemia i niebo?
Tak rwę się do was z palącą potrzebą.
Czy próżno? Wszak wy karmicie, krzepicie?

Niechętnie przewraca kartki książki i patrzy na znak Ducha Ziemi.

Jak różnie ten znak na mnie działać już zaczyna.
Ty, Duchu Ziemi, bliższy byś mi był.
Od razu czuję przyrływ nowych sił,
i płonę niczym od młodego wina.
Oto czuję, narasta już we mnie odwaga,
by dźwigać ziemskich bólów i rozkoszy багаż,
by stawić czoła wszelkim burzom i zawiejom,
i by mnie przy rozbiciu statku lęk nie przejął.
Nade mną się zamyka mrok –
Księżyc zaciemnia się –
lampa przygasa –
i ćmi! – czerwone promienie
krążą mi wokół głowy – z sufitu
wionęło i
dreszcz objął mnie!
Czuję! przy mnie jest ubłagany Duch!
Okaż mi się!
Rozrywa mnie krwi w żyłach oszalały ruch!
Uczucia nowe, niepojęte!
Zmysły jak struny napięte!
Oddam ci się, bez wahań, sercem, duszą całą!
Musisz! Musisz! I choćby życie mnie to kosztowało!

Chwyta książkę i tajemnie zaklina znak Ducha Ziemi. Czerwonawy płomień drży, w płomieniu pojawia się Duch.

DUCH:

Któż to mnie woła?

FAUST *odwracając się*:

Biada! Straszliwe oblicze!

DUCH:

Głos twój do mojej sfery nawet dotarł,
przyciąga mocno mnie twoja istota,
więc...

FAUST:

O, znieść cię nie mogę, choć cię sobie życzę!

DUCH:

Oto się przychyliłem do twych próśb i błagań,
byś me oblicze widzieć, mój głos słyszeć mógł.
Dla ciebie świata zmysłów przestąpiłem próg
i jestem – lecz opuszcza cię teraz odwaga?
Lęk zdjął cię, "nadczołowieku"? Gdzie twej duszy zew?
Gdzie pierś, co świat zamknęła w sobie? Czyżby krew
w twych żyłach nie krążyła, wzburzona z radości,
gdys, by się równać duchom, prawo sobie rościł?
Gdzież Faust, którego dotarł do mnie głos?
Który dążeniu do mnie poświęcił swój los?
To jesteś t y, którego moje jedno tchnienie
po dno duszy przejmuje przerażenia drżeniem?
robak, który się w kurzu ze strachu wygina...

FAUST:

Co? Mam płomienna zjawo, ustąpić przed tobą?
To ja, Faust! Staję, tobie równy, obok!

DUCH:

W życia nurtach, w kipiących czynach
wznoszę się w górę lub
opadam, przędzę tkam,
narodziny i grób,
w wiecznym morzu trwam,
wciąż zmienne przędzenie,
wciąż życia płomienie –
tak na krosnach czasu przędę,
żywą szatę boskości dzieję rząd za rzędem.

FAUST:

Jakże się bliski tobie, Duchu Czynu, czuję,
kiedy okrążasz świata przestrzeń ciemną.

DUCH:

Ty porównuj się z duchem, którego pojmujesz.
Nie ze mną!

Znika.

FAUST *załamując się*:

Nie z tobą?

Z kim więc?

Ja, na boskości podobieństwo,
i nawet nie z tobą?

Pukanie.

Przekleństwo!

Znam to, to na pewno Wagner.

Zniszczył mi chwilę najwyższego szczęścia.

Czemuż przyszedł tu, nudziarz, kiedy się zagęszcza
krąg obrazów? Gdy pobyc sam z duchami pragnę?

Wagner w szlafroku i mycce, z lampą w ręce. Faust odwraca się niechętnie.

WAGNER:

Wybaczenie, że wam spokój na chwilę zakłócę.

Słyszę wasz głos; czytacie pewnie grecki dramat?

Chętnie bym coś skorzystał przy was na tej sztuce,
bo dzisiaj wiele znaczy nawet dykcja sama.

O, już nieraz słyszałem: komediant by mógł
nawet księdza nauczyć wielu ze swych sztuk.

FAUST:

Tak, gdy jest komediantem ksiądz.

Jedno się z drugim może sprząć.

WAGNER:

Ach, jakże mam świat popchnąć na właściwą drogę,
gdy w swym zamknięciu żyję? Jak wskażę mu cele,
skoro widzieć go tylko przez lunetę mogę,
i to rzadko, bo ledwie w niektóre niedziele?

FAUST:

Nie uda wam się, jeśli nie czujecie tego,
jeżeli nie tkwi to głęboko w was.

Zniewolicie słuchaczy tylko, gdy spostrzegą,
że z serca wydzieracie sobie każdą z fraz.

Siedźcie sobie w pracowni i pełni mokoła
warzcie swoje przysmaki z resztek cudzych uczt!

Dmuchajcie, by żar dobyć, w swą kupkę popiołu!

Ale to nie jest do serc i dusz klucz.

Zyskacie tak, jeżeli to was właśnie kusi,
na pewno duży podziw dzieci albo małp.

Lecz do własnego serca sięgnąć najpierw musi
ten, kto by do serc cudzych także dotrzeć chciał.

WAGNER:

Udany wykład trudy mówcy wynagrodzi.

Wiem, że czeka mnie jeszcze pracy wiele godzin.

FAUST:

Niechaj nie będzie, jak krzykliwy błazen!
Niechaj mu idzie o rzetelny zysk!
Bez sztuk się wszak wyklada – i łatwo zarazem –
zdrowy rozsądek i rozumna myśl.
A gdy macie poważnie coś do powiedzenia –
też się właściwe słowa znajdą bez wątpienia.
Wasze mowy, choć każda z nich jest błyskotliwa,
choć się nawet ludzkością zajmujecie w nich,
są jak wiatr, który liście uschnięte podrywa,
bo pokrzepienia w nich nie znajdzie nikt.

WAGNER:

Ach, Boże! Kunsztu się długo nabywa,
a nasze życie krótko trwa.
Często przy pracy lęk mi serce rwał,
że nie zdążę jej skończyć, tak jak rolnik żniwa.
Jakże się ciężko do wiedzy dociera,
przez którą droga do źródeł się pnie!
Lecz zanim człowiek przejdzie i połowę z niej –
czas mu się kończy, i musi umierać.

FAUST:

Czy uważasz pergamin za tę świętą studnię,
z której woda pragnienie wiecznie gasi? Tak?
Wiedz, że to wszystko będzie cię pokrzepiać złudnie,
czego w twojej własnej duszy brak.

WAGNER:

Ach, wybaczenie! Lecz przecież jest wielką rozkoszą,
poczuć, jak w ducha czasów pisma nas przenoszą;
gdy widzimy, jak mędrcy myśleli przed nami
i jak daleko my doszliśmy sami.

FAUST:

O, tak, daleko, aż do gwiazd!
Mój przyjacielu, przeszły czas
jest nam księgą zamkniętą na siedem pieczęci.
To zaś, na co "duch czasu" wy chętnie mówicie –
w rzeczywistości czasu jest tylko odbiciem
we własnym duchu waszym; to powiedzieć chcę ci.
Często, doprawdy, aż żal serce ściska;
starczy, by od was uciec jeden oka rzut:
tylko śmietniki, tylko rumowiska!
I jeszcze wyższe racje głosicie jak z nut.
O świetnie pragmatycznych mówicie zasadach,
jak to się marionetkom godzi i wypada.

WAGNER:

Ludzkie serce i duch! Natura i świat!
Poznania o tym łaknie każdy w każdej porze.

FAUST:

Kto co poznaniem nazwać byłby rad.
Któż właściwym imieniem nazwać dziecko może?
Nielicznych, co poznali rzeczy bieg i prąd,
i, głupi, nie ukryli tego w swoim sercu,
palono, krzyżowano zawsze jak bluźnierców,
kiedy zdradzali tłuszczy swój w Naturę wgląd.
Proszę was, przyjacielu, jest już noc głęboka.
Na ten raz trzeba przerwać nam rozmowę tutaj.

WAGNER:

Chętnie bym przez noc cała nie zmrużył i oka,
byle trwać mogła nasza uczona dysputa.
Lecz jutro, w dniu Pańskiego Zmartwychwstania,
pozwólcie, bym wam zadał znów jakieś pytania.
Studiowałem żarliwie, z zapalem; dlatego
wiele wiem. Chcę się jednak dowiedzieć wszystkiego.

Odchodzi.





POKÓJ DO PRACY

Faust. Mefistofeles.

FAUST:

Ktoś puka? Wejść więc! Kto mnie znów chce nużyć?

MEFISTOFELES:

To ja!

FAUST:

Więc wejdź!

MEFISTOFELES:

Trzy razy musisz to powtórzyć.

FAUST:

Wejdź zatem!

MEFISTOFELES:

Dobrze! Tak mi się podobasz.

Na zgodę między nami ciągle mam nadzieję.

Czy ci nowym wyglądem zły humor rozwieję?

Dziś jako szlachcic tu przybywam, zobacz!

Koszulę mam z jedwabiu i czerwoną szatę

obszytą złotą nicią, srebrem i brokatem,

przy kapeluszu pęk kogucich piór,

u boku długą, ostrą szpadę.

I tobie chcę dać dobrą radę:

ubierz się także na mój wzór!

By cię nie niewoliło nic,

byś zaznał, co to znaczy żyć!

FAUST:

Ja będę w każdym stroju, który byś mi dał,

udręć ciasnego życia ziemskiego ofiarą.

Żeby się tylko bawić, czuję się zbyt staro,

zbyt młodo, bym się wyrzec wszelkich pragnień miał.

A jakież świat wypełni mi pragnienia?

Wciąż nawołuje nas do wyrzeczenia.

"Wyrzeknij się!" – ten wieczny głos,

każdy wciąż słyszy, każdy zna.

Drwiąco to nuci, w ucho wprost,

każda godzina życia nam!

Płakać bym gorzko chciał nad każdym dniem,
od świtu, obudzony przez poranną wrzawę,
bo mi nie spełni ten dzień nowy, wiem,
żadnego z pragnień. Ach, jednego nawet!
Będzie z uporem niszczył we mnie też
choćby i wątlą radości nadzieję;
każdy zrodzony w sercu szczęścia dreszcz
wśród dnia grymasów pośpiesznie topnieje.
A kiedy zmierzch spowija ziemię w cień i chłód,
pełen lęku się kładę na nocny spoczynek;
bo wiem, że sen mnie będzie również strachem gniótł
i nie da mi wytchnienia nawet przez godzinę.
Mych wszystkich sił jedyny bóg i pan,
który w mej piersi ma swoje mieszkanie,
mną może wstrząsnąć, we mnie dokonywać zmian,
lecz poza mną niczego ruszyć nie jest w stanie.
I tak mi jest ciężarem tylko byt,
za śmiercią tęsknię, życia smak mi zbrzydł.

MEFISTOFELES:

Lecz chętnie nikt nie idzie na śmierci spotkanie.

FAUST:

O, szczęśliwy ten, komu śmierć oplata skroń
krwawym laurem, gdy w triumfie czci zwycięstwa swoje;
ten, którego znajduje śmierci chłodna dłoń
wśród tańca i miłości szalonych upojeń.
Ach, gdybym tak i ja, poznawszy Ducha moc,
był w tamtej chwili szczęścia też wyrwany z życia!

MEFISTOFELES:

Ale jednak nie wypił ktoś w pamiętną noc
wiadomego napoju, choć brał się do picia.

FAUST:

Szpiegowanie się zdaje być twoją zasadą?

MEFISTOFELES:

Wszechwiedzący nie jestem; lecz wielu spraw świadom.

FAUST:

Skoro mnie z myśli szalonych zamętu
wyrwało parę słodkich, znanych nut,
i dźwięk z dzieciństwa radosnych momentów
uczuc niewinnych resztkę we mnie zwiódł –
to ja przeklinam wszystko, co duszę oplata
siecią ułudnych przynęt; co nadzieją jest,
która nas zwodząc, jak zręczny szarlatan,
wciąż trzyma duszę w tej jaskini łez.

Przeklęte wzniosłe myśli i zamiary,
którymi chętnie się otacza duch,
przeklęta jasność zjawisk, które swoim czarem
w zmysły się sączą, myśl wprowadzają w ruch.
Przeklęte, co nas oszukuje snami,
o sławie, w której będę wiecznie istnieć mógł;
przeklęte, co nas jako własność mamy,
kobieta, dziecko, parobek czy pług.
Przeklęta niechaj też mamona będzie,
gdy nas dla jej zdobycia na czyn śmiały stać;
gdy, mając naszą gnuśną wygodę na względzie,
poduszki miękkie będzie nam pod plecy słać.
Przeklinam wino, gdy się, pieniać, w kubki leje!
Przeklinam miłość, wielką i prawdziwą!
Przeklinam wiarę! Przeklinam nadzieję!
A nade wszystko przeklinam cierpliwość!

CHÓR DUCHÓW *niewidzialny*:

Biada! Biada!
Zniszczyłeś
swój piękny świat!
W proch się rozpada,
zatraca ład.
Półbóg go ciosem
rozbił swej pieści,
strzaskane części
w nicość niesiemy,
płaczymy
nad Pięknem postradanym.
O, synu ziemi,
ty, podziwiany,
potężny
w swych piersiach prężnych
świat swój odbuduj,
nie żałuj trudu,
rozpocznij na nowo życie
miej myśl należycie
jasną, klarowną.

MEFISTOFELES:

Słuchaj, jak mądrą
darzą cię radą;
znaj życia jądro,
czyny i radość!
Opuść bezludzie,
gdzie żyjesz w nudzie.
Niech świat cię znęci,
żyć w nim miej chęci!
Przestań wreszcie zajmować się swoją zgryzotą,
która ci życie, jak sęp, wyszarpuje!

Najpierw w złe towarzystwo wprowadzę cię po to,
byś poznał, jak się człowiek między ludźmi czuje.
Nie to jest jednak moim celem,
żebyś z hołotą się pobratał.
A choć nie jestem z wielkich tego świata,
to chętnie z tobą własny los podzielę.
Jeśli chcesz ruszyć ze mną w dalszą życia drogę,
wtedy się do twych życzeń przystosować mogę.
Stanę się twoim – już, od razu,
będę twym najwierniejszym druhem.
A jeśli chcesz – to mi rozkazuj;
służę ci ślepym mym posłuchem.

FAUST:

Ale powiedz, co ty byś na tym rad skorzystał?

MEFISTOFELES:

Do spłaty długu długi masz przed sobą czas.

FAUST:

Nie, nie! Wszak diabeł to jest egoista.
Jeżeli dobro komuś chce wyświadczyć raz,
to rzadko powoduje nim życzliwość czysta.
Chcę z góry poznać twe roszczenie.
Taki sługa do domu wnosi zagrożenie.

MEFISTOFELES:

Ja będę t u t a j tobie służył po twój koniec,
bez tchu i bez spoczynku, przez twe wszystkie dni.
A kiedy się spotkamy t a m, po drugiej stronie –
ty masz to samo wtedy świadczyć mnie.

FAUST:

To, co tam będzie, obchodzi mnie mało.
Gdyby ci ten świat zniszczyć się udało,
to po nim inny świat się może stać.
To z tej ziemi radości moje wszystkie płyną,
i to ten świat mych cierpień wszystkich jest przyczyną,
więc gdy dni moje tutaj już przeminają,
może się wtedy co chce dziać.
I nie chcę o tym więcej słyszeć teraz:
czy i tam będę namiętności czuł,
albo czy w tamtych, pozaziemskich sferach
są też kierunki: w górę albo w dół.

MEFISTOFELES:

Kto tak myśli, na wiele odważyć się może;
sprzymierz się ze mną. Ujrzysz wtedy sam
sztuki me, jak przed tobą tworzę je i mnożę.
To, czego nikt nie widział jeszcze, tobie dam.

FAUST:

Jakież ty, biedny diable, możesz dać mi rzeczy?
Przecież tego, do czego dąży duch człowieczy
tobie podobny nigdy nie uchwyci.
Masz pożywienie, które nie nasyci,
masz złoto, które, chociaż w dłoni lśni ci,
lecz ucieka spod palców – niczym rtęć ruchliwa;
gra, w której człowiek nigdy nie wygrywa:
Dziewczyna, która w moich spoczywa ramionach,
lecz wzrokiem sąsiadowi przyrzeka się właśnie;
zaszczytów, sławy rozkosz upragniona,
co jak meteor w dali gaśnie.
Pokaż owoc, co gnije, nim się go rozkroi,
i drzewa, co się co dnia na nowo zielenią!

MEFISTOFELES:

Służę ci. Bo to wszystko mam wśród skarbów swoich.
Na pewno sprostam podobnym zleceniom.
Lecz, przyjacielu, przyszedł teraz czas,
byśmy spokojnie spożyli wieczerzę.

FAUST:

Jeśli, spokojny, spocznę na laurach choć raz,
to od tej chwili do ciebie należę.
Jeżeli byś mnie zdołał uwieść pochlebstwami,
że się sobie spodobam choć na parę mgnień,
jeśli byś mnie rozkoszą, przesytem omamił –
to niechaj to ostatni będzie dla mnie dzień.
Zakład stoi?

MEFISTOFELES:

Przyjmuję!

FAUST:

Stoi między nami!

Jeśli powiem do chwili: nie odchodź, zaczekaj,
bo tyle dajesz mi rozkoszy,
to mnie uwięzić możesz; wtedy z tym nie zwlekaj,
wtedy zginę bez żalu, bo mój czas się dożył.
Wtedy niech dzwonią mi żałobne dzwony,
wtedy ze służby jesteś uwolniony.
Niech zegar staje, niech wskazówka spada.
Przeminął czas mój, po wszystkim, zagłada.

MEFISTOFELES:

Wiedz, że ja nie zapomnę, co kładziesz na szalę.

FAUST:

Do tego pełne prawo masz.
Ja nie przeceniam swoich sił zuchwale.
Jestem w niewoli, przyznaję to, zważ.
Twojej czy czyjej – nie dbam o to wcale!

MEFISTOFELES:

Dziś, przy naszej wieczerzy, będę gotów już
moją powinność sługi spełniać należycie.
Tylko o jedno proszę – na śmierć czy na życie
parę linii mi napisz, pod tym podpis złóż.

FAUST:

Pedancie, żądasz, byśmy spisali umowę?
Czy nigdy nie spotkałeś się z człowiekiem słowem?
Nie starczy ci, że zawsze już mnie będzie gniótł
ciężar danego słowa? Tego już nie zmienię.
Chociaż świat cały pędzi strumieniami w przód,
mnie będzie powstrzymywać dane przyrzeczenie.
Bo taką manię w serca już wpojono nam.
By się uwolnić od niej, kto żywi zamiary?
Szczęśliwy, który wierność w swojej piersi ma,
bo żadnej mu nie będzie dla niej żal ofiary.
Zaś kto się na podpisy, cyrografy zda,
ten znajdzie w nich upiory, zamiast szczerzej wiary.
Żywe słowo zamiera od razu na piórze.
Chciałbyś je posiąść na wosku, na skórze?
Jakiż ty zapis, zły duchu, wybierzesz?
W brązie, w marmurze czy też na papierze?
Mam pisać rylcem, czy piórem czy dłutem?
Może w kamieniu chcesz mieć to wykute?

MEFISTOFELES:

Ach, czemu musisz tą swoją przemową
przesadzać zaraz, i tak gorączkowo?
Dowolna kartka starczy mi.
Podpiszesz się kropelką krwi.

FAUST:

Jeśli zależy na tym ci,
zabawmy się w tę hecę nową.

MEFISTOFELES:

Szczególnym sokiem jest człowiecza krew.

FAUST:

Nie lękaj się o trwałość naszego przymierza!
Dążenie sił mych, mej istoty zew
jest tym, co obiecuję i spełnić zamierzam.
Zbyt się ceniłem, wierząc snom.
Należę tylko tam, gdzie ty.
Wielki Duch całkiem wzgardził mną,
Natura nic nie zdradzi mi.
Nić myśli dawno się zerwała,
obmierza mi jest mi wiedza cała.
Chcę w zmysłowości sycić życia głód!

Niech moje namiętności koi teraz ona!
A w jej nieprzeniknionych, magicznych osłonach
niechaj niejeden na mnie czeka cud!
Rzućmy się w czasu szmer, szum, wrzask,
niech zdarzeń prąd unosi nas!
Wtedy rozkosz, cierpienie,
pomyślność, zmartwienie –
niech przeplata się i zmienia;
człowiek działa bez wytchnienia!

MEFISTOFELES:

Nie stawiam celów wam ni miar,
wszędzie możecie uszczknąć nieco,
pochwycie to czy owo lecąc –
niech wam na zdrowie pójdzie każdy losu dar.
Nie bądźcie głupi, czerpcie ile chęci!

FAUST:

Wszak słyszałeś, że radość niewiele mi znaczy.
Chcę się najboleśniej rozkoszy poświęcić,
miłosnej nienawiści, krzepiącej rozpaczy.
W mojej piersi, z pragnienia wiedzy uleczonej,
niech się ból wszelki od tej chwili spiętrza.
Rozpacz i rozkosze ludziom przydzielone,
chcę czuć w sobie, chcę przyjąć do własnego wnętrza.
Chcę duchem swoim objąć upadki i wzloty,
w piersi zmieścić ludzkości szczęście i cierpienie,
tak rozszerzyć jestestwo swe do jej istoty,
by wreszcie pochłonęło – ją i mnie – zniszczenie.

MEFISTOFELES:

O, uwierz temu, kto ten twardy orzech
gryzie już od tysięcy lat,
że od kołyski po śmiertelne łożo
żaden człowiek nie rozgryzł go, ni zjadł.
I uwierz mi, że stworzył ten świat cały
dla siebie tylko Bóg przez swoją moc.
On sam jest w blasku wiecznej chwały,
nam wieczne mroki się dostały,
wam zaś – na przemian dzień i noc.

FAUST:

Ja chcę!

MEFISTOFELES:

To słyszeć da się, oczywiście.
Przed jednym tylko pragnę ostrzec was:
sztuka jest długa, krótki czas.
Dać się pouczyć powinniście.
Najlepiej pójdźcie do poety,
jego wysiłków zbierzcie plon,
a wszystkie cnoty, jak bukiety

ozdobią wtedy waszą skroń:
Odwaga, jaką ma lew,
i chyżość, jaką ma jeleń,
Włochów burząca się krew,
wytrwałość w nordyckim ciele.
Niech wam jego talenty tajemnicę zdradzą,
jak szlachetność i chytrość połączyć się dadzą,
i niechaj, z gorącymi żądzami młodości,
zgodnie z planem was odda we władzę miłości.
Chciałbym takiego pana znać zrządzeniem losu;
wtedy wnet bym mu imię dał "Mikrokosmosu".

FAUST:

Kim jestem, skoro mi wzbronione
sięgnąć i zdobyć ludzkości koronę,
choć każdym zmysłem tylko do niej dążę?

MEFISTOFELES:

Na końcu jesteś – tym, kim jesteś.
Nałóż perukę pełną loków, wstążek,
stań na koturnie, wyglądaj jak książkę –
i tak zostaniesz zawsze tym, kim jesteś.

FAUST:

Oto już czuję, że zgarniałem chciwie
skarby ducha ludzkiego ku sobie daremnie.
Bo kiedy chcę odpocząć po skończonym żniwie,
to żadna nowa siła nie pulsuje we mnie.
Nie jestem ani o włos wyższy,
ani nieskończoności bliższy.

MEFISTOFELES:

Mój dobry panie, rzeczy postrzegacie,
tak jak się rzeczy same jawią wam.
Żeby radości życia zapobiec utracie,
trzeba przebieglej działać. Pomysł na to mam.
Do kata! Prawda, że do mnie należą
od zawsze ręce, nogi, d--, oczy, nos.
Ale czy wszystko to, co otrzymałem świeżo
ma być mniej moje? A dlaczego to?
Jeśli bym kupił dziś cztery ogiery,
z ich sił, jak z własnych bym korzystać mógł.
Gnałbym przez drogi, skakał przez bariery,
jakkby to ja sam miał szesnaście nóg.
Śmiało! Wszystkiego możesz jako zmysłów użyć!
Wtedy dopiero warto w świecie się zanurzyć!
Mówię ci: kto chce poznać tylko myślą wszystko,
jest jak zwierzę, gdy zły duch je po kole wodzi;
choć w krąg się rozciąga obfite pastwisko,
ono tylko po suchej, rzadkiej trawie chodzi.

FAUST:

Jak mamy zacząć?

MEFISTOFELES:

Odejdziemy stąd!

Cóż to jest za koszmarny kąt!

Jakież ty możesz tu prowadzić życie?

Męczą się tu uczniowie, męczy nauczyciel.

Zostaw to swemu sąsiadowi,

bo po co ty tę słomę ciągle młócić masz?

Tego, co część najlepszą wiedzy twej stanowi,

i tak nie możesz uczniom swym powiedzieć, zważ!

Jednego właśnie w korytarzu słyszę...

FAUST:

Nie chcę, nie mogę teraz mówić z nim.

MEFISTOFELES:

Nie możesz go odprawić, on już dawno przyszedł
i czeka bardzo długo w przedpokoju twym.

Daj, niech twą czapkę i twój płaszcz nałożę!

Ha! Leży to przebranie na mnie nie najgorzej...

Przebiera się.

Zabawię go, mój dowcip w tym mi dopomoże.

W kwadrans wyjaśnić całkiem sporo da się.

Ty się do drogi przygotuj w tym czasie.

Faust odchodzi.

MEFISTOFELES w *długim płaszczu Fausta*:

Niechaj ci nic nie znaczą rozum i nauka,

w których najwyższa tkwi człowieka siła.

Pragnę, byś pokrzepienia u ducha kłamstw szukał,

którego złudna sztuka wielu usidliła.

Wtedy na pewno w swą sieć cię dostanę!

Los go obdarzył duchem, którego wciąż dalej,

ciągle naprzód dążenie gna nieokiełznane,

że przez ziemskie radości, nie widząc ich wcale,

przeskakuje w pośpiechu, w gorączce, i w szale.

Pociągnę go przez życie dzikie, rozpasane,

przez ciąg zjawisk nieważnych, bez znaczenia, płaskich,

ma w nich szarpać się, tężeć i kleić na zmianę.

Przed nienasyconością jego zaś namiastki

pokarmów będą bujać. Lecz nic mu to nie da,

nie wybląga posiłku prośbą swoją żadną.

On, nawet gdyby nie był diabłu się zaprzedał,

to przecież i tak w końcu musiałby pójść na dno.

Uczeń wchodzi.

UCZEŃ:

Dopiero krótki tu spędziłem czas,
i pełen czci spotykam dzisiaj was;
mistrza, o którym się mówi z szacunkiem.
Chciałbym się uczyć pod waszym kierunkiem.

MEFISTOFELES:

Wasza uprzejmość bardzo cieszy mnie.
Jak inni jestem, ni więcej, ni mniej.
Czyście już tu się rozejrzeli?

UCZEŃ:

Proszę was, byście mnie przyjęli.
Pieniądze mam; mnie do was wiódł
młodości zew i wiedzy głód.
Matka, gdy odjeżdżałem, chodziła jak struta.
Rzetelną wiedzę chciałbym zdobyć tutaj.

MEFISTOFELES:

Nie przyjąć tu zatem byłby grzech i błąd.

UCZEŃ:

A potem jednak chciałbym odejść stąd.
Bo siedzieć w tych zamkniętych murach,
to dla mnie prawie jak tortura.
Ciasno tu, brak zieleni, drzew,
nie kwitnie żaden wonny krzew.
A gdy usiądę już na ławie,
źle słyszę i nie myślę prawie.

MEFISTOFELES:

Ach, to jest sprawa nawyku jedynie.
I dziecko nie od razu chce piersi matki brać,
lecz zanim, prawda, czasu wiele minie,
zaczyna ją z lubością ssać.
To porównanie wskazuje najprościej,
że i wam się spodoba u piersi mądrości.

UCZEŃ:

Przy was bym pragnął z radością pozostać,
lecz mi powiedzcie, jak mam tu się dostać?

MEFISTOFELES:

Powiedzcie tylko, nim pójdziemy dalej:
jaki też byście fakultet wybrali?

UCZEŃ:

Chciałbym nauki dźwignąć brzemię,
zrozumieć, poznać niebo, ziemię.
Naturę i Naukę tak bym chętnie pojął!

MEFISTOFELES:

Skupienie myśli musi być waszą ostoją.

UCZEŃ:

Tego chcę ciałem swym i duszą!
Lecz, przyznam, że też mi się śni
trochę rozrywki; że mnie kuszą
wolne wiosenne albo letnie dni.

MEFISTOFELES:

Czas prędko mija. Czas wykorzystywać
porządek uczy. I też czas zyskiwać.
Dlatego, przyjacielu, radzę teraz wam
od *Collegium Logicum* zacząć, gdyż to tam
duch właśnie tresowany jest,
mocno wiązany sznurem tez,
by odtąd przez tor myśli szedł
prosto; żeby się wzdragał przed
błędnym krążeniem tu i tam
i opuszczaniem sztywnych ram.
Pewnego dnia nauczą was,
że skończył się beztroski czas;
nawet gdy chce się spać, jeść, pić –
trzeba z logiką w zgodzie być.
A wzór fabryki myśli łatwo się zobaczy,
gdy się pomyśli o maszynie tkaczy:
tysiąc nici w ruch wprawia jednym ruchem ręka,
tu, tam strzelają posłuszne czółenka,
i niewidocznie dla nas biegną nici rączy.
Jednym ruchem uderza się w tysiąc połączeń.
Teraz filozof wyklada swe myśli;
że tak być musi, zaraz wam uściśli:
pierwsze jest tak, a drugie tak,
dlatego trzecie jest i czwarte tak.
Gdyby pierwszego, drugiego nie było,
trzeciego i czwartego też nie, rzeczy siłą.
Uczniowie chwalą to wszędzie na świecie,
ale tkaczami nie stają się przecież.
Gdy zaś przedmiotem badań jest materia żywa,
wtedy się najpierw ducha z niej usunąć stara.
Badacz ma wkrótce w ręce wszystkie części naraz –
lecz, niestety, na więzi duchowej im zbywa.
*Encheiresin naturae*¹ zwą chemię, a wszak
chemia kpi sama z siebie – sama nie wie, jak.

UCZEŃ:

Niezbyt są zrozumiałe dla mnie wasze słowa.

1 Dostęp do Natury.

MEFISTOFELES:

Już wkrótce lepiej będzie je pojmował,
gdy się nauczy dobrze redukować,
co tylko da się, i klasyfikować.

UCZEŃ:

Jak gdyby młyńskie koło w głowie mi szumiało.
Głupieję pod tych nowych teorii nawałą.

MEFISTOFELES:

Dalej, nim w innej z nauk rzucicie kotwicę,
musicie się poświęcić wpierw metafizyce.
Pojmiecie wtedy takie nowe treści,
których by rozum ludzki raczej nie przyjmował.
Na to, co się w rozumie mieści i nie mieści
będą w użycie dane wam wspaniałe słowa.
Ale w pierwszym półroczu głównie o to chodzi,
by się w porządek szkoły wdążyć w jego ciągu.
Wykłady trwają u nas co dzień po pięć godzin;
przychodźcie na nie z pierwszym uderzeniem gongu.
A jeśli wcześniej się przygotujecie,
poznacie paragrafy i przestudiujecie,
to zobaczycie: profesor bez zmiany
mówi tekst, co jest w książce napisany.
Lecz spisywać będziecie wszystkie jego słowa,
jakby Duch Święty sam je wam dyktował.

UCZEŃ:

Mnie dwa razy powtarzać tego nie musicie,
bo pisanego słowa wagę dobrze znam.
To, co czarno na białym napisane mam,
mogę do domu zabrać ze sobą w zeszycie.

MEFISTOFELES:

Lecz wybierzcie mi wreszcie jakiś studiów wydział!

UCZEŃ:

Na prawie raczej bym siebie nie widział...

MEFISTOFELES:

Rozumiem. I to mi się w was, powiem, podoba,
bo wiem, jak z tą nauką wyglądają sprawy.
Jest jak dziedziczna i wieczna choroba.
Przechodzą paragrafy, prawa i ustawy
z poprzednich na następne ciągle pokolenia.
Z miejsca na miejsce też się prawo rozprzestrzenia.

UCZEŃ:

Mój wstręt do prawa jeszcze przez was wzrósł.
Szczęśliwy, kto nauki słyszy z waszych ust.
Niemał chciałbym się oddać teraz teologii.

MEFISTOFELES:

Zwodzić was na manowce nie mam wcale chęci.
Bardzo trudno uniknąć jest fałszywej drogi,
temu, kto się nauce tej właśnie poświęci,
bo w niej ukrytej trucizny jest tyle;
tu truciznę z lekarstwem nawet ja pomyłę.
Radzę, by wybrał mistrza jednego w tych kręgach,
Niech go słucha, na słowa jego niech przysięga.
Ogólnie – miejcie słowa za nauk fundament,
a wówczas łatwo przekroczycie bramę
do świątyni pewności. Oto moja rada.

UCZEŃ:

Ale słowu pojęcie przecież odpowiada!

MEFISTOFELES:

Słusznie! Niech tylko w popłoch nie popada,
bo tam, gdzie pojęć niedostatek ma się,
tam słowo się pojawia we właściwym czasie.
Słowami doskonale spierać, klócić da się,
przez słowa system nauk poszerza swój zasięg,
w słowa i słowom wierzyć da się snadnie,
i słowu ani jednej joty się nie skradnie.

UCZEŃ:

Wybaczenie, że przeciąga się moja wizyta,
ale muszę wam zadać kilka dalszych pytań.
Czy nie zechcecie jeszcze mi o medycynie
czegoś powiedzieć? Rzućcie na nią okiem.
Trzy lata to niedługo, ten czas szybko minie,
a pole wiedzy, Boże! jest takie szerokie.
Kiedy ktoś wskaże choć raz palcem drogę,
łatwiej poczuć, co wybrać, czym lepiej się stać.

MEFISTOFELES *do siebie*:

Tego suchego tonu ścierpieć już nie mogę.
Znów prawdziwego diabła muszę zacząć grać.

Głośno:

Oto, co medycyny sensem jest, podstawą:
kto wielki świat, i mały przestudiować mógł,
ten na koniec pozwoli tak się toczyć sprawom –
jak zechce Bóg.
Każdy uczy się tylko tego, czego może,
choćby od trudu studiów bił na niego pot.
Zaś właściwym człowiekiem jest, kto w każdej porze
swą chwilę chwyta w lot.
Rozporządzacie całkiem dobrymi kartami:
jesteście młodzi, zgrabni i nie jest z was tchórz.
Zyskacie, jeśli sobie zaufacie sami,

też ufność innych dusz.
Szczególnie się kobiety prowadzić nauczcie,
które z j e d n e g o punktu trzeba leczyć wam:
z ciągłych biadoleń w łożu, w robocie, przy uczcie;
ja sam to dobrze znam.
I bądźcie przyzwoici jedynie co nieco,
wtedy się wszystkie zaraz do was zlecą.
Najpierw musi wasz tytuł je przekonać z góry,
że innych kunszt przy waszej sztuce będzie bladł.
Na "dzień dobry" próbujcie znaleźć rzeczy, których
kto inny szuka wiele lat.
Nauczcie się z uczuciem badać puls kobiecie,
potem ją wokół szczupłych bioder obejmiecie,
z przebiegłym raz spojrzeniem, i z ognistym raz,
by zobaczyć, jak ciasno ją krępuje pas.

UCZEŃ:

Tu już gdzie i jak, widać! Na to mam ochotę!

MEFISTOFELES:

Szara, mój przyjacielu, jest teoria cała,
zielone zaś jest tylko życia drzewo złote.

UCZEŃ:

Przysięgam, że jak we śnie czuję się bez mała!
Czy wolno mi raz jeszcze złożyć wam wizytę,
żeby z waszej mądrości pić niepospolitej?

MEFISTOFELES:

To, co zdołam, uczynię dla was zawsze chętnie.

UCZEŃ:

Nie mogę odejść stąd po prostu tak.
Pozwólcie, że wam podam jeszcze mój pamiętnik,
i wpiszcie mi coś, jako waszych względów znak.

MEFISTOFELES:

Dobrze.

Pisze i oddaje pamiętnik uczniowi.

UCZEŃ *czyta*:

Eritis sicut Deus scientes bonum et malum².

Kłania się z szacunkiem i odchodzi.

MEFISTOFELES:

Idź wskazaną przez węża, mego brata drogą.
A podobieństwo z Bogiem napęlni cię trwogą.

Faust wchodzi.

2 Będziesz jak Bóg, znający dobro i zło; Biblia, RDZ. 3, 5

FAUST:

Gdzie ruszamy?

MEFISTOFELES:

A na co by twój wybór padł?

Pokażę ci wpierw mały, potem wielki świat.

Zobaczysz, radość znajdziesz, i znajdziesz pożytek
jedząc co dnia gdzie indziej swe posiłki syte!

FAUST:

Ale przy długiej drodze mojej jest mi brak
lekkości bycia. To jest przykry fakt.

W tym względzie nie powiodą mi się próby żadne,
me zachowanie w świecie bywa nieporadne.

Jak gdybym dorównywał innym tylko w pół.
Zakłopotany będę cały czas się czuł.

MEFISTOFELES:

Powiem ci, przyjacielu, o jednym sposobie:
będziesz żyć umiał, tylko zaufaj sam sobie.
To przyjdzie z czasem.

FAUST:

Może. A gdzie konie masz?

Gdzie kareta, pachołek? Jak ruszymy w drogę?

MEFISTOFELES:

Musimy tylko rozpostrzeć ten płaszczyz,
na nim przestrzeń powietrzną pokonywać mogę.

Przy śmiałym kroku, który zrobić chcesz,
tylko niewiele rzeczy w drogę z sobą bierz.

Ten ogień, który mam tu, proszę, lęku nie miej,
szybko nas dwóch uniesie wysoko nad ziemię.

Lepiej, byśmy nie byli obciążeni zbyt.

Życzę szczęścia! Znów życia ci nastaje świt!

y

WIECZÓR. MAŁY, CZYSTY POKOIK

MARGARETE *zaplatając i wiążąc warkocze*:

Ach, wiele dała za to bym,
by wiedzieć, kim był ten pan. Kim?
Chwacko wyglądał... ta mina, ten gest!
Z lepszego domu też na pewno jest,
bo inaczej by do mnie podejść się nie ważył;
a zresztą wypisane to ma też na twarzy.

Odchodzi.

Mefistofeles. Faust.

MEFISTOFELES:

Wejść! Tylko cicho się zachowuj.

FAUST *po chwili milczenia*:

Proszę cię, zostaw mnie samego.

MEFISTOFELES *rozglądając się*:

Tak czysto w swym pokoju ma nie każda znowu.

Odchodzi.

FAUST *patrząc naokoło*:

Witaj mi zmierzchu, który cieniem
do tej świątyni wpływasz środka.
Miłosne w sercu mym cierpienie
rosa nadziei poi słodka.
Cisza izdebkę tę wypełnia,

ład i porządek wszędzie wokół.
W tej ubogości, jakaż pełnia!
W tej wąskiej celi, jakiż spokój.

Rzuca się na skórzany fotel przy łóżku.

O, przyjmij mnie! Niejeden przodek już
tutaj w radości albo w bólu siadał,
i często ten tron ojców, jak wianuszek róż,
w krąg otaczała dziecięcą gromada.
Też moja ukochana podchodziła doń
i, chowana w surowych, pobożnych zasadach,
całowała zwiędniętą dziadka swego dłoń.
Ducha, który przez życie wiedzie cię, dziewczyno,
w porządku, w ładzie tutaj ciągle będę czuł;
w tym, jak zgodnie z codzienną nauką matczyną
czysto serwetą nakryłaś ten stół;
i w tym, jak w sypkim piasku ślady stóp twych giną.
O, dłoń kochana! To właśnie przez ciebie
w tej chatce lepiej jest, niżeli w niebie.
A tutaj!

Podnosi zasłonę nad łóżkiem.

Jak tę rozkosz znieść w ogóle zdołam?
Tutaj słodkie godziny chciałbym spędzać. Ach,
Naturo, tu udało ci się w lekkich snach
na ziemi prawdziwego wytworzyć anioła!
Tutaj leżała właśnie. Ciepły dech
unosił pierś jej, delikatną, białą,
a święte, czyste życie pracowicie tkło
ten boski obraz, który czczę z sił wszech.

A ty tu po co? Wzruszony do głębi
czego tu szukasz? Czemu? Co cię gnębi?
Serce ci ciąży, duszę okrył cień.
Nieszczęsny Fauście! Nie poznaję cię.

Czyżby czar jakiś tu otaczał mnie?
Wszak chciałem zaspokoić tylko swoje żądze,
teraz – miłość mną rządzi, a nie ja nią rządę.
Czy tak obraca nami każdy wiatru wiew?

Ach, gdyby ona weszła teraz tu,
jakże byś pokutował za swój czyn zuchwały.
Stałbyś się nędzny, nieznaczący, mały
i we łzach roztopiony ległbyś u jej stóp.

MEFISTOFELES:

Chodźmy! Jej kroki na ulicy słyszę.

FAUST:

Chodźmy! O, żebymż tu więcej nie przyszedł!

MEFISTOFELES:

Weź tę szkatułkę! Prędko gdzieś ją włóż.
Ciężka jest, że mi od niej ręce mdleją już.
Schowaj-że gdzieś ją, najlepiej do szafy.
Wrzuciłem rzeczy takie różne tam...
Sam ich widok jej zmysły zamącić potrafi!
Taki prezent niejedną mógłby zdobyć wam.
No cóż, dziecko jest dzieckiem, zabawa zabawą.

FAUST:

Nie wiem, czy powinienem...

MEFISTOFELES:

A to dobre! Brawo!

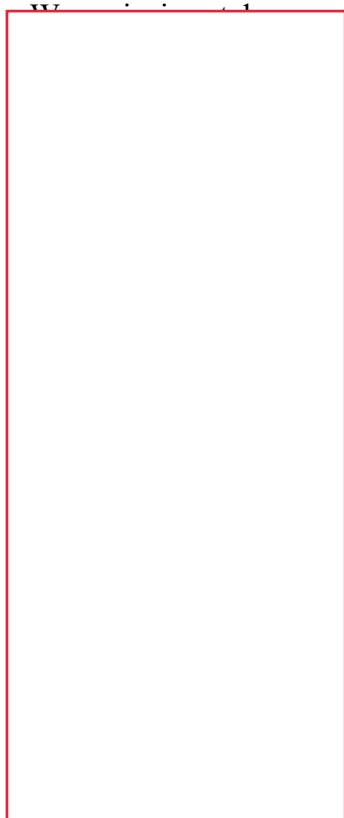
Jeśli sami nie wiecie, to wam dobrze radzę:
zaoszczędźcie mi dalszych trudów bezcelowych,
i sobie też wybijcie tę dziewczynę z głowy.
A może skarb zachować macie na uwadze?
Nie, nie sędzę, abyście byli chciwi, nie!
Ja się wysiłam, dwoję, troję –

Wstawia szkatułkę do szafy, i zamyka na powrót zamek.

i teraz szybko, uchodźmy stąd, już! –
by ku wam zwrócić jej serce, i cóż?
I na co idą te wysiłki moje?
Ma taki wzrok,
jakby się z kwestią niełatwą borykał!
Jakby tu ciałem weszły w mrok
metafizyka i fizyka!
Idźmy stąd! Już!

Odchodzi.





OGRÓD MARTY

Margarete. Faust.

MARGARETE:
Przyrzeknij, Henryk!

FAUST:
Co mogę, kochanie.

MARGARETE:
Czy wierzysz w Boga? Czy bywasz w kościele?
Jesteś dobrym człowiekiem, nic ci nie przyganię,
tylko z religii robisz sobie niezbyt wiele.

FAUST:
Ach, lepiej zostaw to, maleńka.
Nad życie kocham ciebie, w to mi chyba wierzysz.
Nie skłócę cię z kościołem, tego się nie lękaj.

MARGARETE:.
To niedobrze. Samemu też wierzyć należy.

FAUST:
Należy?

MARGARETE:
Jak przemówić mam ci do sumienia?
Czci nie oddajesz świętym sakramentom.

FAUST:

Ach, czczę je przecież.

MARGARETE:

Ale bez pragnienia.

Nie chodzisz do spowiedzi, ani na mszę świętą.

Czy wierzysz w Boga?

FAUST:

Kto powiedzieć może:

Wierzę w Boga? Kto, moja ty jedyna?

Zapytaj księdza, mędrca czy mnicha w klasztorze,

a ich odpowiedź zabrzmi niby drwina

z tego, kto pyta.

MARGARETE:

Więc nie wierzysz w Niego?

FAUST:

Ach, nie kochanie, nie mówiłem tego!

Lecz – kto Go nazwać może,

i kto wyznać w pokorze:

"Wierzę w Niego"?

I kto swoje odczucia

od siebie precz odrzuci,

by rzec: "Nie wierzę w Niego"?

Ten, kto wszystko ogarnia,

kto wszystko w istnieniu utrzymuje,

czyż nie ogarnia i nie utrzymuje

ciebie, mnie, siebie samego?

Czy niebo w górze nie jest sklepione?

Czy twardej ziemi nie ma w dole?

Czy wieczne gwiazdy, nam przyjazne,

nie wschodzą na firmamencie?

Czy w twoje oczy nie patrzę?

Czy nie osnuwa cię wieczna tajemnica,

która się w tobie odzywa pragnieniem?

Wypełnij nim swoje serce po brzegi,

a kiedy cała już się w nim zanurzysz,

wtedy to nazwij, jak tylko chcesz:

Nazwij to szczęściem! miłością! czy Bogiem!

Ja nie mam imienia

na to! Uczucie jest wszystkim.

Imię to dźwięk, to dym,

który niebiański żar przesłania.

MARGARETE:

Dobrze, zgadzam się z tym,

i ksiądz tak mówił też podczas kazania,

tylko słowami troszkę odmiennymi.

FAUST:

Mówią to wszystkie serca na ziemi,
wszędzie pod niebem jasnym,
każde w swoim języku własnym.
Dlaczego nie ja w moim?

MARGARETE:

A jednak mnie to niepokoi.
Choć mądrze mówisz, to mimo starania,
wciąż z chrześcijaństwem brak ci pojednania.

FAUST:

Kochanie!

MARGARETE:

Dawno już z cierpieniem
patrzę na twoje otoczenie.

FAUST:

Jak to?

MARGARETE:

Ach, nienawistny jest mi do dna duszy
ten człowiek, co jest z tobą, gdzie byś się nie ruszył.
Nie przenikało mnie nic w życiu jeszcze
tak nieprzyjemnych i złych przeczuć dreszczem,
jak widok jego wstrętnej twarzy.

FAUST:

Kochanie, z nim nic złego ci się nie przydarzy.

MARGARETE:

Gdy on jest blisko, krew mi wnet z serca odpływa,
choć wszystkim ludziom jestem poza tym życzliwa.
I jak bym nie tęskniła do twego widoku,
jego bliskość lęk budzi we mnie, i niepokój.
Przy tym mam go za łotra... albo jeszcze gorzej.
Jeśli go krzywdzę, to mi wybac, Boże.

FAUST:

Muszą chodzić po świecie i takie cudaki.

MARGARETE:

Nie chciałabym przenigdy żyć z człowiekiem takim.
Niech tylko próg przestąpi i wejdzie do środka,
a już się jego przykry, drwiący wzrok napotka.
To jest zły człowiek, zimny i szyderca,
widać, że nie ma do niczego serca.
I wypisane ma jeszcze na twarzy,
że nikogo na świecie uczuciem nie darzy.
Ach, tak mi dobrze jest w twoich uściskach,
czuję się taka wolna, oddana ci, bliska,
lecz przy nim moje serce staje się kamieniem.

FAUST:

O, ty niewinne, czujące stworzenie!

MARGARETE:

Zdaje mi się, że ciebie już nie kocham nawet,
kiedy on tylko do nas przystępuje.

I, teraz zdaję sobie z tego sprawę,
że modlić się nie mogę wtedy, gdy on tu jest.

I to mi w serce boleśnie się wżera.

Tobie na pewno to także doskwiera.

FAUST:

Po prostu darzysz go niechęcią.

MARGARETE:

Lecz – iść już muszę.

FAUST:

Ach, czy mym objęciom
zawsze musisz umykać? Pobądź trochę ze mną,
byśmy czuli, w uściskach, swą miłość wzajemną.

MARGARETE:

Chętnie bym zostawiła zasuwkę otwartą,
dla ciebie, drogi, gdybym sama spała.

Lecz matka ma sen płytki, a myśleć nie warto,
co by się działo, gdyby tak nas przyłapała.

Z miejsca by chyba mnie zabiła.

FAUST:

Nie musisz bać się, moja miła.

Weź to! Wystarczy nalać z tej butelki,
by matka aż do świtu mocno spała sobie,
do jej herbaty dwie lub trzy kropelki.

MARGARETE:

Czegóż dla ciebie, jedyny, nie zrobię!

Nie będzie to szkodliwe, mam nadzieję, dla niej.

FAUST:

Czy bym inaczej dał ci to, kochanie?

MARGARETE:

Najlepszy! Tak mnie twe spojrzenia durzą,
że nie wiem czemu, wszystko, co chcesz czynię.

A już zrobiłam dla ciebie tak dużo,
że to jeszcze zostało mi zrobić jedynie.

Odchodzi.

Ukazuje się Mefistofeles.

MEFISTOFELES:

To pawian! Poszła?

FAUST:

Szpiegowaleś znowu?

MEFISTOFELES:

Gdy katechizowano tu pana doktora,
to przysłuchiwałem się każdemu słowu.
Tuszę, że z tą nauką dobrze-ś się uporał.
Dziewczęta, żeby pytać o to mają powód:
czy pobożny jest, czy czci stare obyczaje.
Myślą: i nam się podda, gdy im się poddaje.

FAUST:

Czy nie rozumiesz, ty potworze,
jak ją, czerpiącą radość z wiary,
męczy, że duszę stracić może
ten, kogo kocha tak bez miary?

MEFISTOFELES:

Ty konkurencie łzawy, mam z tobą sto pociech!
Dziewczyna za nos na sznurku cię wodzi.

FAUST:

Ty szyderstwa i ognia plugawy pomioście!

MEFISTOFELES:

A na fizjonomii jak się zna! Nad podziw!
Gdy jestem blisko, jest jej – sama nie wie jak.
Moja maseczka ukryty zmysł wróży.
Czuje, że mam to, czego innym ludziom brak,
że może jestem nawet... diabłem w ludzkiej skórze?
Więc – dzisiaj w nocy?

FAUST:

Co tobie do tego?

MEFISTOFELES:

Swoją uciechę też mam przecież z tego!



PAŁAC CESARSKI
SALA TRONOWA

Rada państwa oczekująca Cesarza.

Trąbki.

Wychodzą dworzanie wszelkiego rodzaju, ubrani z wielkim przepychem.

Cesarz podchodzi do swego tronu, po swojej prawej stronie ma astrologa.

CESARZ:

Witam, panowie, wszystkich razem,
z bliższych i dalszych krajów moich.
Mędrzec tu przy mnie kornie stoi,
lecz – gdzież się zawieruszył błazen?

JUNKIER:

Nie wiem, z jakiego to powodu,
za tobą dążąc spadł ze schodów.
Zaraz też został stąd zabrany.
Martwy jest pewnie – lub pijany.

DRUGI JUNKIER:

Lecz – czy to czary, czy to żarty?
Drugi tu zmierza! Tak uparty,
że choć halabardami w krzyż
pragną powstrzymać go twe warty,
on przemknął obok, niby mysz!
A strojny jest od stóp do głów
i miny stroi – że brak słów!

MEFISTOFELES *przyklękając przy tronie:*

Co się przyzywa, by to przekląć?
Co się przepędza – choć wysnione?
Kogo nie wolno ci tu wezwać?
Co zawsze bierze się w obronę?
Co się oskarża i co łaje?
Co się przegania zbyt pochopnie?
Czemu się chętnie posłuch daje?
Co wstąpić chce na tronu stopnie?

CESARZ:

Ty nie dręcz mnie łamigłówkami!
One są tamtych panów sprawą!
Chyba, że znajdziesz rozwiązanie...
Dość! Potem zajmiesz mnie zabawą.
Teraz zaś miejsce zajmij z tyłu, za moim tronem,
które dla mego błazna było przeznaczone.

Mefistofeles wstępuje na stopnie tronu i staje po lewej stronie Cesarza.

POMRUK:

Ten nowy ktoś – to nowe zło;
przyszedł tu – jak? Skąd tu się wziął?
Poprzedni padł – od swoich zmór.
Jak beczka był – ten jest jak wiór.

CESARZ:

A więc witam was tutaj, memu sercu mili,
ciesząc się, żeście dzisiaj tak tłumnie przybyli.

Oto gwiazd konstelacje na niebie nam wróżą
szczęście, dobrobyt, pomyślność i sławę.
Po co narady nam więc, które nużą –
wtedy, gdy chcemy przy winie, zabawie
i w maskaradach kłopoty zapomnieć?
W dniach, gdy jesteśmy troskom umknąć radzi?
Ale cóż, zaczynajcie. Jeśli chodzi o mnie
daję zgodę, jeżeli trzeba o czymś radzić.

KANCLERZ:

Ach, blask cnoty najwyższej, jak blask aureoli,
od dumnej winien bić głowy cesarza.
Bo brak tej cnoty bardziej, niż brak chleba boli,
a tylko cesarz może swój lud nią obdarzać.
To – sprawiedliwość. Lud jej pragnie, panie.
Zapewnić mu ją jest władcy zadaniem.
Panie! Dziś rozum – cóż duchowi po nim?
Po cóż dziś sercu dobroć, a ochoczość dłoni,
skoro gdzie spojrzeć – zło w państwie szaleje;
zło się lęgnie i pleni, źle się wszędzie dzieje.
Kto w dół, na Rzeszę, spojrzysz z tego zamku – zaraz
ma wrażenie, że nagle w ciężkim śnie się znalazł,
gdzie go ułomność z wszystkich stron osacza,
i gdzie bezprawie prawo nam oznacza,
gdzie fałsz świat ciągle zmienia i wypacza.
Ten porywa kobietę, ów bydło lub konie,
niejeden nawet okrada ołtarze.
I chępli się tym drwiąco, bo przecież na koniec,
i tak uchodzi słusznej karze.
Tych, którzy skarżyć chcą się, tłum się zebrał w hali,
sędzia się puszy na swym stolcu w dumie,
tymczasem niepokojów trzeba bać się fali,
bo dreszcz gniewu słusznego przechodzi po tłumie.
Dzisiaj ten bluźni bezkarnie i grzeszy,
kto na współwinnych opiera się rzeszy.
Niewinni sprawiedliwe przegrywają sprawy.
Niewinność od wyroku nie może dziś zbawić.
Tak świat sprawiedliwości niszczy powoli.
Zanikają zasady i prawa godziwe.
Cóż dzisiaj w twych poddanych miłość cnót wyzwoli
i skłonność do czynienia tego, co uczciwe?
W końcu nawet człowieka szlachetnej natury
pochlebcy i sprzedajni ludzie popsuć mogą.
Nieuchronnie z przestępcą taki sędzia, który
karać słusznie nie może, pójdzie jedną drogą.
Chętnie bym w tym obrazie jasnych barw używał;
lecz niestety – ta czarna wizja jest prawdziwa.

Pauza.

I oto nieuchronne wnioski:
gdy grzeszą, cierpią miasta, zamki, wioski
i sam Majestat za rozbój się bierze.

WÓDZ WOJSK:

Dziś jakby spełniał się zły omen.
Wszędzie mord, burdy i grabieże.
wojsko nie słucha żadnych komend.
Zamknięci w murach miast mieszczenie,
rycerze w swych warownych wieżach,
sprzysięgli się, że nie dostanie
od nich pomocy żadnej Rzesza.
Żołnierz najemny natarczywie
woła o żołd za swe usługi,
lecz by stąd odszedł niewątpliwie,
gdybyśmy mu spłacili długi.
Niech rozkaz będzie mu niemiły!
To jakbyś włożył w gniazdo os kij.
Że państwo niszczą różne siły,
to nie jest dla nich przedmiot troski.
Już Rzeszy pół stracone na nic.
Tamy rozbojom nikt nie stawia.
Królowie spoza naszych granic
nie chcą się mieszać w nasze sprawy.

SKARBNIK:

Od państw, co pomoc ci przyrzekły,
pomocy nigdy nie dostaniesz.
A w twoich krajach, stąd odległych,
na kogo przeszło posiadanie?
Na nowe rody, co żądają
wciąż nowych praw, nienasycenie.
Ty zaś, im przywileje dając,
sam tracisz władzę w ich terenie.
I partiom także już nie w głowie
boje o twoje toczyć hasła.
Bo każdy myśli dziś o sobie,
dawna żarliwość w nich wygasła.
Gibellini, tak jak guelfowie,
szukają w twierdzach swych wytchnienia.
Nikt nie pomoże sąsiadowi.
W nikim sił ni przekonań nie ma.
Każdy chce się bogacić sam,
by płacić zaś – brak złota nam,
bowiem już pustą mamy kasę!

MARSZAŁEK:

I ja też wiele mam przykrości.
Wszak chcemy robić oszczędności!
Wydatki rosną zaś tymczasem

bez ograniczeń. To kucharzy
wcale nie martwi. Co dzień dziki,
sarny, zające, kury i indyki
dla potrzeb dworu twojego się smaży.
Na to wystarczą deputaty, renty...
Ale na koniec wina jest za mało!
Gdzie nam w piwnicach niegdyś nie zbywało
na beczkach mchem już obrośniętych.
Lecz do ostatniej kropli tych zapasów morze
osuszyli książęta, panowie, wielmoże.
Posilek oto pod stół spadł,
oni sięgają zaś po kufle, dzbany,
i odkręcają wszystkich beczek krany –
kto więcej pije, ten jest większy chwat.
Do mnie przychodzą po odbiór pieniędzy:
Żyd mnie na pewno nie oszczędzi,
a ktoś na parę przyszłych lat
antycypacje dostał w szpony;
tak każdy mebel w zamku jest już zastawiony,
i przejezdny chleb dziś zbliża się do warg!

CESARZ po namyśle, do Mefistofelesa:

Powiedz ty, błaznie, nie masz jakichś skarg?

MEFISTOFELES:

Ja? Skądże! Tutaj, gdzie jak złota zorza
błyszczą wspaniałość twoja i twych dworzan?
Nie... I ufności także nie zbraknie mej duszy,
gdzie Majestat niezłomnie wrogie siły kruszy.
Jakże nie mam mieć wiary, że troski wnet miną
tu, gdzie szlachetna wola świeci dobrym czynom?
Cóż może nam zaciemniać horyzont przyszłości,
gdy ją nam rozjaśniają gwiazdy tej wielkości?

POMRUK:

To szelma jest – lecz umie łąć.
Nam, sobie – jak się długo da.
Co za tym tkwi – nieobce nam.
A co to jest – jak zawsze, plan.

MEFISTOFELES:

Gdzież i komuż na świecie czegoś nie brakuje?
Tu tego, tam tamtego – lecz wam brak pieniędzy.
Z jastrychu ich się, cóż, nie wydobydzie,
lecz mądrość, gdzie ich szukać, trafnie odgaduje.
Trzeba górskich żył szukać, wkopać się pod mury,
by je znaleźć – w monetach i innej postaci.
Kto wykryć i wydobyć je zdoła, pytacie?
Siła ducha ludzkiego i ludzkiej natury!

KANCLERZ:

O duchu i naturze nie mów chrześcijanom!
One sieją zwątpienie w bogobojnych duszach.
Już wielu ateistów na stosy skazano,
by takimi mowami wiary nie naruszać.
Nie do nas z tym! – od wieków już cesarza tron
wspiera się na rycerstwie i ludziach Kościoła,
którzy tu, by mu służyć, z kraju wszystkich stron
dążą i żadna zamieć wymieść ich nie zdoła.
Urzędy, które biorą, to jest ich zapłata...
Natura zaś jest grzechem! A duch to jest szatan!
Ich piekielnym pomiotem jest grzeszne zwątpienie,
które mąci motłochu zmysły i umysły;
z nich się biorą herezje, czary, odszczepienie,
one nad wsią i miastem jak groźba zawisły!
Zwalczać je trzeba! A ty beczelną swą kpiną
do nas je tu przemycasz! To nie ujdzie płazem!
Brońcie się przed tym! One są grzechów przyczyną!
A wiedźcie: bliskim krewnym diabła bywa błazen.

MEFISTOFELES:

Tak właśnie myślą zawsze panowie uczeni!
Dla was nie ma wartości, co nie z waszych mennic!
Czego nie policzycie, temu nie dajecie wiary,
co nie przez was ważone – to nie ma ciężaru.
Bardzo dalekie wam jest, czego nie macacie,
braknie wam tego, czego w rękach nie trzymacie!

CESARZ:

Nasze troski nie znikły od twego kazania.
Zmęczony jestem nim, i tobą.
Dość mam biadoleń ciągłych, próżnego gadania.
Brak nam pieniędzy. Dobrze! Więc je zdobądź.

MEFISTOFELES:

Zdobędę, czego chcecie, i zdobędę więcej.
Choć przyjdzie mi to lekko, lecz lekkie wagę ma niemałą.
Już leży tam... lecz sztuką jest je dostać w ręce.
Któż wie, jak by do tego wziąć się należało?
Pomyślcie tylko: w czasach zawieruch najsroższych,
gdy ludziom od hord wrogich groziła zagłada,
jak ten i ów, choć w strachu, to, co miał najdroższe
w jakimś ukryciu sobie tylko znanym składał.
Tak było już za Rzymian... pomysł nie jest świeży...
i dalej tak, do wczoraj, ach, dziś tak się zdarza!
Wszystko to, zakopane, w ziemi cicho leży.
Ziemia zaś – i to, co w niej jest – to własność cesarza.

SKARBNIK:

Jak na błazna to mówi całkiem nieźle. Brawo!
Tak jest! Do ziemi cesarz ma odwieczne prawo.

KANCLERZ:

Szatan złotem was kusi i bierze was na lep.
Z prawem i pobożnością nie idzie to wcale!

MARSZAŁEK:

Niech da, co obiecuje, a nie chcę się droczyć,
i z drogi prawa mogę nieco w lewo zboczyć.

WÓDZ ARMII:

Błazen mądry; co komu potrzeba, przyrzeka.
Żołnierz, skąd żołd pochodzi, nigdy nie docieka.

MEFISTOFELES:

A jeśli nie dajecie wiary słowom moim,
pytajcie astrologa, który tutaj stoi.
To jemu przyszłość zdradza gwieździsty firmament.
No, mów, co obiecuje na niebie gwiazd zamęt?

POMRUK:

To szelmy są – znają się już.
Głupiec, fantasta – przy tronie tuż.
To dawno znana stara pieśń,
tak mędrzec trąbi, jak głupiec dmie!

ASTROLOG *mówi, Mefistofeles dmie:*

Słońce oznacza złoto wśród gwiazd nieba...
Merkur zwiastuje pieniądze i łaski.
Marsa, gdy skryty obawiać się trzeba.
Wenus zaś, jeśli w wieczór albo brzaskiem
w dół zerka, to was względami obdarzy.
Jupiter w niebie najpiękniej się jarzy.
Księżyc, choć jasny, ale też niestały.
zaś wielki Saturn, przez odległość mały
jest i nie bardzo nam na nim zależy.
Tak! Jeśli Słońce z Luną się sprzymierzy,
złoto ze srebrem – świat się w oczach zmieni!
Dostanie każdy to, co sobie ceni.
Zamki, kobiety, wino, stada koni –
wszystko, o czym marzycie, samo do was trafi!
Zdobędzie to wam człowiek szczególnie uczony,
który to umie, czego nikt z nas nie potrafi.

CESARZ:

Podwójnie słyszę jego objaśnienia,
lecz przekonania do nich nie mam.

POMRUK:

Cóż ma być wart – ten nędzny żart.
Bezbożne to – alchemia, zło!
Nadzieję w nas – wzniecił nie raz.
Gdy z oczu zszedł – zagasła wnet.

MEFISTOFELES:

Zadziwieni stoją wokół,
boczą się na ziemi dary;
ten przeżegnał się na boku,
ów posądza mnie o czary.
Cóż znaczy mi, że jeden drwi,
drugi wiary nie daje,
gdy mu podeszwa buta drży
i krok niepewny się staje.
Oto czujecie tajemną moc
wiecznie rządzącej Natury.
Z najgłębszych sfer, gdzie wieczna noc
prąd życia pnie się do góry.
Gdzie lęk was przygnie niczym garb,
i ciarki w członkach czujecie,
tam zakopany leży skarb!
Szukajcie tam, a znajdziecie!

POMRUK:

Mnie jak ołów stopę gniecie!
Mnie przechodzi dreszcz po grzbiecie!
Mnie drętwieją dłonie całe!
Ja mam ramię zeszywniałe!
Czy to znak, że tuż pod nami
są komory ze skarbami?

CESARZ:

Już mi nie umkniesz! Chęcią czynu płonę!
Pokaż skarb, którymś ludzi nas się tu odważył!
Powiedz nas do podziemnych pełnych, korytarzy!
Oto tu składam miecz, berło, koronę.
Niech moja własna dłoń i ramię
dokończy dzieła – jeśli on nie kłamie.
Jeśli zaś kłamie – nie będzie mu to wybaczone!

MEFISTOFELES:

Drogę tam znajdę. Nie zdołam jedynie
rzec wam, jak pełne są tam bogactw skrzynie.
Dzban znalazł w bruździe chłop, co ziemię orze.
Otwiera, myśląc: "saletra, daj Boże!",
a wtem widzi – z radością i w nabożnym lęku –
że garść złotych monet trzyma w nędznym ręku.
Jakich piwnic rozsadzić musiałyby sklepienia,
jakich tajnych przejść, szczelin szukać, co się wdarły
w bliskie sąsiedztwo państwa cieni i umarłych,
ten, kto pragnie zawładnąć skarbami podziemia!
Niechaj do lochów zejdzie starych,
i niech w nich szuka, a dostrzeże
ze złota misy i talerze,

z rubinów kufle i puchary.
I stare, ciężkie wino też mu w kielich spłynie,
gdyby mu się wznieść toast naraz zamarzyło.
Lecz – drewno beczek z trunkiem dawno już przegniło,
więc mu sam kamień wina służy za naczynie!
Także esencje win szlachetnych, wierście,
nie tylko złoto i cenne kamienie,
otula groza nocy, jej złowieszcze cienie...
Mądry szuka tam, bo wie, że je znajdzie wreszcie.
Światło dnia w figiel to zręcznie przemienia,
co w mroku wzbudza dreszcze przerażenia.

CESARZ:

Tobie zostawiam dreszcze i ciemności!
Ja się do mroków bynajmniej nie garnę.
By wartość poznać, potrzeba jasności;
wszak wszystkie koty wśród nocy są czarne.
Pociągnij pług swój i na światło dzienne
dobądź spod ziemi to, co drogocenne!

MEFISTOFELES:

Sam kop! Sam pochyl się z łopata!
Wielkim się staniesz od chłopskiej roboty,
gdy się spod ziemi wyrwie dziwne stado,
co cię wzbogaci – stado cieląt złotych!
Wtedy kochanka twoja błysnie jaśniej
urodą, cała w brylantach i perłach,
które jej piękność pomnożą tak właśnie,
jak czar bijący z cesarskiego berła.

CESARZ:

Ach, prędko! Niecierpliwość moje serce szarpie!

ASTROLOG:

Pozwól, niech barwnych zabaw szereg przejdzie najpierw,
bo nie wiedzie do celu myśli roztargnienie.
Potrzebne nam są wiara, pokora, skupienie.
To, co głęboko skryte, ten tylko dostanie,
czyj duch wzwyż pnie się... Żądzę powściągnij więc, panie!
Kto chce dobra – niech wolę wpierw do niego nagnie,
kto chce wina – dojrzałe grona niech wpierw zbierze,
niech ukoi swe zmysły, kto radości pragnie,
Kto nadzieję na cud ma – niech się krzepi w wierze!

CESARZ:

Dobrze więc, że za dni niewiele
post już się zacznie przez Popielec.
Czas niech zaś skróci nam zabawa;
tym huczniej bawmy się w karnawał!

Trąby. Exeunt.

MEFISTOFELES:

Tego, jak szczęście wiąże się z zasługą,
głupcy nie pojną jeszcze bardzo długo.
Choćby filozoficzny kamień im się dało,
w ich rękach stanie się zwyczajną skałą.

AKT DRUGI

WYSOKO SKLEPIONY GOTYCKI POKÓJ

niegdyś Fausta, niezmieniony.

MEFISTOFELES *wychodzi spoza zasłony. Kiedy unosi zasłonę i ogląda się, widać za nią Fausta, rozciągniętego na starym, ojcowskim łóżu:*

Leż tutaj, leż, nieszczęsny. Jesteś usidlony
w trudnych do rozplątania uczuć więzach ścisłych.
Bo kto Heleny czarem został porażony,
ten niełatwo odzyska rozsądek i zmysły.

rozglądając się wokół:

Patrzę po sprzętach, księgach, ścianach...
w izbie nie zaszła żadna zmiana.
Nic nie zostało naruszone!
Nieco są szyby zabrudzone,
i moc pajęczyn na pułapie.
Wysechł atrament, pożółkł papier,
lecz nawet w piórze jeszcze tkwi
kropelka wyłudzonej krwi,
którą Faust podpis był swój kładł
na kontrakt nasz, gdy przeklął świat.
Co dałby zbieracz dziwnych rzeczy,
żeby to pióro mieć w swej pieczy!
I stare futro wisi nadal,
wspomnienie chłopca, co mi zadał
o korzyść z wiedzy masę pytań,
sądząc, że Fausta o to pyta.
Z mych odpowiedzi, myśli kluczeń,
czerpie dziś jeszcze, jako uczeń.
Doprawdy, aż mnie chęć nachodzi,
chętnie bym ludzi znów pozwodził
i się puszył, jako docent,
z prawem nieomylnych ocen.
Wiedzą, jak zdobyć prawo to uczeni;
diabeł go sobie dawno już nie ceni.

Strząsa zdjęte z wieszaka futro; wypadają z niego cykady, żuki i farfarelle²⁹.

CHÓR OWADÓW:

Witamy, witamy,
nasz stary panie!
Brzęczymy, latamy
na powitanie!
Tańczymy, tańczymy,
choć mało nas było,

29 Czyli motylki.

ciągle się mnożymy,
masę nas przybyło.
Lepiej są ukryte
myśli w piersi szelmy,
niż my w futrze; wylec
z niego się ośmielmy!

MEFISTOFELES:

Jakaż to radość, owadów chmary.
Wystarczy posiać, a będą plony.
Jeszcze raz strząsam ten kożuch stary
i żuki lecą na wszystkie strony!
Brzęcząc, kołując, z szumem skrzydełek,
rój śpiesznie znika i z oczu ginie
między stosami starych pudełek,
w zmiętym, pożółkłym już pergaminie,
w pokrytych kurzem naczyniach z gliny,
i w trupiej czaszki pustym oczodole.
Bo pośród takich rzeczy zbieraniny
cykady zawsze grają swoją rolę.

Nakłada futro.

Chodź i raz jeszcze okryj mi ramiona.
Dzisiaj znów jestem tutaj pryncypałem.
Lecz cóż pomogą tytuły, imiona,
skoro brak osób, co by je uznały?

Pociąga za dzwonek, który wydaje przenikliwy, ostry ton; sale drżą od niego, drzwi się otwierają.

FAMULUS *przychodzi, chwiejąc się, przez długi, ciemny korytarz:*

Cóż za tony! Cóż za hałas!
Schody, mur zadrżały naraz!
Poprzez okien barwny dygot
widzę wietrznych błysków migot!
Skacze jastrych, a z sufitu
gruzy sypią się tam i tu!
I z zamkniętych drzwi pieczęcie
spadły jakby za zaklęciem.
Ach, jak strasznie! Tam! Wielkolud
w futrze Fausta stoi w holu.
A od jego spojrzeń, skinień
pot ze strachu po mnie płynie.
Chciałbym na kolana paść.
Czy uciekać mam, czy stać?

MEFISTOFELES *kiwając na niego ręką:*

Podejdz, przyjacielu. – Nazywacie się Nikodemus!

FAMULUS:

Czcigodny panie... Me imię jest – Oremus.

MEFISTOFELES:

Zostawmy to!

FAMULUS:

Że mnie znacie, jestem zaszczycony.

MEFISTOFELES:

Znam, dobrze znam! Już w latach, a wciąż jeszcze student.
Omszały pan... lecz również i człowiek uczony
wiedzę musi zdobywać z uporem i z trudem.
Tak się właśnie buduje sobie domek z kart;
duch wielki do budowy końca nie dociera...
Ale wasz mistrz, na przykład, jest podziwu wart:
któż nie zna szlachetnego doktora Wagnera!
On pierwszy teraz jest w uczonych kręgach,
to on je tylko spaja, trzyma razem,
mnoży mądrość, po wiedzę ciągle głębszą sięga.
Przed jego zaś katedrą z czcią, jak przed obrazem,
w nabożnej ciszy siedzi tłum chętnych słuchaczy.
Doktor Wagner ich w wiedzy wprowadza arkana,
wyjaśnia im symbole, zjawiska tłumaczy,
jak święty Piotr, klucz dzierży do sfer otwierania.
Jego sławie nierówna żadna inna sława:
tak błyszczy jego gwiazda wśród reszty uczonych!
Jakby on sam odkrywał, badał, na katedrach stawał.
Nawet Faust się wydaje przy nim pomniejszony.

FAMULUS:

Wybacz, czcigodny panie, że co wiem, powtórzę,
że wam się przeciwstawię, że słowo rzec pragnę:
nie pożąda zaszczytów ni braw doktor Wagner,
bowiem skromność właściwa jest jego naturze.
Z niepojętym zniknięciem wielkiego człowieka
wciąż jeszcze się nie może zgodzić i oswoić.
Pokój doktora Fausta tak jak dawniej stoi,
i bez zmiany na powrót swego pana czeka.
A doktor Wagner pociech, wierzcie, czerpie wiele
z myśli o tym, że kiedyś Faust wróci do domu.
Czekając, nie pozwala nic tu tknąć nikomu,
że i ja próg przekroczyć ledwie się ośmielę.
Lecz teraz? Cóż za gwiazdne wróżby się ziściły,
że nawet mury zdają się być dziś nieswoje?
Słupy drzwi dygotały i zamki puściły;
bo bez tego nie weszlibyście na pokoje!

MEFISTOFELES:

Gdzież on się kryje teraz, i dlaczego?
Powiedźcie mnie tam, lub sprowadźcie jego.

FAMULUS:

Ach, zakaz jego wciąż obowiązuje!
Nie wiem, czy mogę się na to poważić.

Już od miesiący coś w ukryciu warzy,
w odosobnieniu i ciszy pracuje.
Tak, jak palacz przy piecu, tak on spływa potem,
kiedy w swojej pracowni spędza chwile błogie:
oczy zaczerwienione od dmuchania w ogień,
twarz i ręce pokryte ma czarnym nalotem.
Łaknienie gardło mu wysusza,
szczęk szczypiec gra mu jak muzyka w uszach!

MEFISTOFELES:

Przyjęcia mi odmówić jednak nie powinien,
bo to ja mu przyśpieszę szczęśliwą godzinę.

Famulus odchodzi, Mefistofeles ciężko siada w fotelu.

Ledwiem tutaj się rozgościł,
widzę już znajomą postać.
Nabrał w wiedzę swą ufności,
myśli, że mi zdoła sprostać.

BACCALAUREUS *biegnąc korytarzem*:

Stoją bramy, drzwi otworem!
To zwiastuje przemian porę.
I napawa mnie nadzieją,
że ci, którzy tu marnieją,
już nie będą w sił rozkwicie
umierać na samo życie.

Murom drżącym, pochylonym,
bliski koniec jest sądzony.
Już za chwilę ściany stare
runą na nas swym ciężarem.
Choć odważnym, jak nikt wokół,
dalej nie postąpię kroku.

Lecz cóż mi się dziś przytrafi?
Czym nie tu przed laty trafił?
Nie tu, gnany niepokojem,
chciałem znaleźć swą ostoję?
Tu uczonym zaufałem,
na ich mowy czcze się zdałem!

W starych księgach zasklepiali,
co wiedzieli, mnie kłamali.
W wiedzę swoją nie wierzyli,
życie sobie, mnie niszczyli.
Cóż to? Tam, w izdebce ciasnej,
siedzi taki ciemno-jasny!

Zbliżam się, zachodząc w głowę,
skąd to futro znam brązowe?

Wiem! Wszak tak się z t y m rozstałem!
Siedział w futrze swym zetlałym...
Wtedy zręczny był w rozmowach,
gdym słów jego nie pojmował.
Dziś to nie odniesie skutku.
Przekonam go o tym krótko!

Jeżeli, stary panie, w Lety mętnej wodzie
nie zatoneła jeszcze wasza czaszka naga,
spójrzcie teraz na ucznia, który tu przychodzi,
po przebyciu uczelni stopni i wymagań.
Wy trwacie, jak i w dawnych dniach.
Tym, co się zmienił, jestem j a !

MEFISTOFELES:

Ciesz się, że cię widzę. Niechaj o tym wspomnę,
że już i wówczas ceniłem cię sporo.
Wszak gąsienice, niepozorne, skromne
dają załśnić motyli przepyszny kolorom.
Uznanie miały wtedy, w waszych oczach
loki i kołnierzyki modne, koronkowe...
Nigdy nie nosiliście, jak sądzę, warkocza?
A dziś na szwedzką modłę stroicie swą głowę.
Dziarsko wyglądacie, mądrze, rezolutnie.
Do domu nie przychodźcie tylko absolutnie.

BACCALAUREUS:

Mój stary panie! W czasie prądu nowym
jesteśmy, zauważcie, choć na miejscu starym.
Zachowajcie dla siebie swe dwuznaczne słowa,
bo dzisiaj przykładamy do nich inne miary.
Gdym przybył jako chłopiec, z ufnością, szczerą twarzą,
wy kpinami zbyliście mój głód wiedzy świeży.
Dziś żadne szelmy ze mnie kpić już się nie wążą.

MEFISTOFELES:

Cóż, kiedy czystą prawdę mówi się młodzieży,
w którą się żółtodziobom nieprzyjemnie wierzy,
ale którą poznają, gdy lat przejdzie troszkę,
na własnej skórze poprzez doświadczenie gorzkie,
wtedy myślą, że doszli do wszystkiego sami,
i powiadają, że ich mistrz był na nic.

BACCALAUREUS:

Ha! jakież nauczyciel prawdę prosto w twarz
prawi nam? Chyba, że szelma i kpiarz.
Każdy mnożyć potrafi treść lub jej ujmować,
w powagę żarty wplatać i mądrość w nich chować.

MEFISTOFELES:

Jest czas, aby się uczyć, nikt temu nie przeczy.
Kto zdobył doświadczenie i poznanie rzeczy,

innych przecież nauczać jest zupełnie gotów...
tak i wy, od księżycy wielu już obrotów.

BACCALAUREUS:

Ach, doświadczenie i wiedza są pianą,
o którą duchy nie dbają swobodnie.
Przyznajcie sami! Co dawno widziano,
wcale poznania nie jest godne.

MEFISTOFELES *po pauzie*:

Byłem błaznem. Tak, to mi już od dawna świta.
Ma własna wiedza jest mi mdła i pospolita.

BACCALAUREUS:

To mnie cieszy. Rozsądnym słyszę was w rozmowie.
Zaiste, pierwszy stary, a rozsądny człowiek.

MEFISTOFELES:

Uniosłem tylko węgle... to moja porażka,
bo skarbów złotych i skrytych szukałem.

BACCALAUREUS:

Przyznajcie jeszcze tylko, że i wasza czaszka
nic więcej warta nie jest, niż te tam, spróchniałe.

MEFISTOFELES *łagodnie*:

Czy wiesz, jak nieuprzejme jest twe zachowanie?

BACCALAUREUS:

Uprzejmie po niemiecku to się tylko kłamię!

MEFISTOFELES, *który na swoim fotelu na kółkach podjeżdża coraz bliżej proscenium, do parteru widowni*:

Tu, w górze, mi powietrza i światła się broni.
Ale u was zapewne będę mógł się schronić?

BACCALAUREUS:

To arogancja starych: gdy minie ich czas,
chcą być czymś nadal, choć już niczym nie są.
Gdzież krew się burzy tak, jak w młodych, w nas?
A życie ludzkie we krwi żyje, to nie przesąd!
W nas jest krew żywa i o siłach świeżych,
co z życia nowe życie sobie powołuje.
Wszystko wrze i porusza się tylko w młodzieży!
W nas słabość pada, a zdolność i dzielność króluje!
Podczas gdy myśmy pół świata zdobyli,
wy obmyślaliście plan, i wiecznie plan!
Wyście wciąż rozprawiali, spali i marzyli.
Pewnie! bo starość to jest taki właśnie stan:
zimna gorączka i chłód zdziwaczałych potrzeb.

I dlatego, gdy ktoś już do trzydziestki dotrze,
to jest tak, jakby życie uszło z jego serca.
Najwłaściwiej by było was na czas uśmiercać!

MEFISTOFELES:

Diabeł nic więcej dodać tu nie może.

BACCALAUREUS:

Nie będzie diabła, gdy j a nie wyrażę zgody!

MEFISTOFELES *na stronie*:

A jednak diabeł nogę ci jeszcze podłoży.

BACCALAUREUS:

Oto najszlachetniejsze powołanie młodych!
Świata nie było, pókim go nie stworzył.
Jam słońce w górę dźwignął i z morza wydobył,
ze mną dopiero księżyc zmienny bieg rozpoczął.
Dzień się stroił na mojej drodze w swe ozdoby,
a ziemia dla mnie kwitła, barwnie i ochoczo.
I tamtej pierwszej nocy, gdym gestem przyzwolił,
wnet rozwinął się przepych wszystkich gwiazd i planet.
Któż z was, prócz mnie, swe myśli ze szranków wyzwolił,
w których po filistersku wciąż są krępowane?
Tylko ja, wolny, jak mi w duszy śpiewa,
za mym wewnętrznym światłem, prężnymi krokami
prędko podążam naprzód, i sam się olśniewam,
przed sobą mając jasność, ciemność – za plecami!

Odchodzi.

MEFISTOFELES:

Idź! Że jesteś niezwykły, w upojeniu mniemaj!
Jakby cię zabolalo, gdybyś pojął to,
że nic, nic! tak głupiego ni mądrego nie ma,
czego by już przed nami nie pomyślał kto.
Lecz zagrożenia dla nas i tutaj nie czuję,
bo on się przecież zmieni, gdy lata upłyną.
Choć moszcz się nedorzecznie najpierw zachowuje,
to w końcu jednak mamy z niego dobre wino.

Do młodych widzów, którzy go nie oklaskują:

Wy nieczuli na moje słowa zostajecie,
chłodno je przyjęliście tu, w młodzieży tłumie.
Lecz zważcie – diabeł stary już jest przecie,
więc trzeba też być starym, nim się go zrozumie.

LABORATORIUM

typowe dla średniowiecza niezgrabne, rozbudowane aparaty, mające służyć fantastycznym celom.

WAGNER *przy palenisku:*

Brzmi dzwon i dźwięk się pnie po murze,
co drży, przeżarty cały grzybem.
Nie może Niepojęte dłużej
w oczekiwaniu trwać straszliwym.
Ciemność rozjarza się powoli
i już we wnętrzu mojej fioli,
jak żywy ogień, który płonie,
jak najwspanialsza iskra żwawa,
ciemność przeszywa jasny promień,
białe światelko się pojawia.
Żebyż tym razem się udało!
Ach, cóż to w drzwi załomotało?

MEFISTOFELES *wchodząc:*

Witajcie! Wszedłem jak przyjaciel!

WAGNER *z lękiem:*

Witajcie w tej godzinie gwiazd.

Cicho:

Czy słowa, oddech powstrzymacie?
Bo dzieło wielkie dokona się tu wraz.

MEFISTOFELES *ciszej:*

Jakież?

WAGNER *jeszcze ciszej:*

Tu człowiek jest właśnie stwarzany!

MEFISTOFELES:

Człowiek? Czyżbyście w dziurze, którą dym uchodzi,
zamknęli jaką parę zakochanych?

WAGNER:

Niechże Bóg broni! To już nie uchodzi,
ten sposób poczynania jest już zbyt ograny.
Ów czuły punkt, z którego wytryskało życie,
ta święta siła, co działała skrycie,
brała, dawała, sama kształtowała,
wpierw bliskie, potem dalsze w posiadanie brała –
już nie są godne ludzi, to sprawa skończona .
Jeśli tym nawet nadal cieszą się zwierzęta,
to istota, talentem hojniej obdarzona,
w przyszłości musi także lepiej być poczęta.

Zwracając się do paleniska:

Jarzy się, patrzcie! Nadzieja ożywa,
że mieszając składników różnych liczne serie –
bo najważniejsza jest tu mieszanka właściwa –
w końcu skomponujemy człowieczą materię.
Trzeba ją w kolbie zalutować,
i wielokrotnie destylować,
a w ciszy spełni się misterium.

Zwracając się do paleniska:

Dopełnia się! Pulsuje masa wciąż klarowniej,
i coraz bliższe prawdy moje przekonanie,
że to, co się w Naturze czci jako cudowne,
my rozumnie wytworzyć też jesteśmy w stanie.
Że to, co może w świecie się organizować,
i my możemy wykrystalizować.

MEFISTOFELES:

Kto długo żyje, zebrał doświadczeń niemało,
wiele widział na świecie, zna niejeden cud.
Mnie, w latach mych wędrówek, już się przydarzało
wykrystalizowany sztucznie spotkać lud.

WAGNER *patrzący dotąd z uwagą na probówkę:*

Wznosi się, błyska, pieni się, wysila...
Zaraz będzie gotowe, jeszcze krótka chwila.
Zamiar wielki szalonym wyda się pozornie,
lecz, gdy chcemy przed figłem przypadku ochrony,
to umysł, co w przyszłości myśleć ma wybornie,
przez myśliciela także musi być zrobiony.

Z zachwytem patrząc w probówkę:

Moc słodka dźwięczy już o fioli ściany,
szkło się zamgliło... znów się czyste staje.
Widzę, widzę! To zgrabny, śliczny i udany
człowieczek się porusza, i mi znaki daje!
Cóż chcemy, czegoż świat chce jeszcze więcej teraz?
Bo tajemnicę oto rozwikłano!
Ach, wsłuchajcie się w dźwięki, którymi szkło wzbiera,
a głosem, mową prawdziwą się staną!

HOMUNCULUS *w probówce, do Wagnera:*

No, tatuśku! To nie żart, co ci się przydarza.
Chodź, przytul mnie do serca, spełnij swoją rolę!
Lecz żeby szkło nie pękło, ostrożnie! uważaj!
Bo taka właśnie rzeczy na świecie jest kolej:
Naturalnemu wszechświat zdaje się więzieniem,
sztuczne zaś znosi tylko zamknięte przestrzenie.

Do Mefistofelesa:

Lecz że ty tutaj jesteś, mój panie kuzynie?
W odpowiedniej pojawiaasz się chwili, dziękuję!
Dobry los cię sprowadził do nas w tej godzinie,
bo skoro zaistniałem, chęć do czynu czuję.
Chęć, aby się od razu w wir roboty rzucić;
ty drogę do niej potrafisz mi skrócić

WAGNER:

Słowo jeszcze! Przychodzą tu uczniowie tłumnie,
i rozwiązań spraw trudnych poszukują u mnie.
Przykład: żeby to komuś pojąć się udało,
że pasują do siebie tak dusza i ciało:
ściśle, jakby na zawsze mocno się trzymają,
a jednak wciąż nawzajem sobie przeszkadzają.
Dalej...

MEFISTOFELES:

Stop! Starczy! Ja chcę wiedzieć nie to,
lecz: czemu źle się znoszą mężczyzna z kobietą.
W tej kwestii, przyjacielu, masz wieczny bałagan.
Takiej właśnie roboty mały się domaga.

HOMUNCULUS:

Co mam robić?

MEFISTOFELES *wskazując na boczne drzwiczki:*

Cóż, pokaż, czego umiesz dociec!

WAGNER *wciąż patrząc w probówkę:*

Zaprawdę, to najśłodszy, mój maleńki chłopiec!

Boczne drzwiczki otwierają się, widać Fausta rozciągniętego na posłaniu.

HOMUNCULUS *zdziwiony:*

Oho!

Probówka wyślizguje się z rąk Wagnera, unosi się nad Faustem i oświeśla go.

Pięknie! Jasne, przezroczyście stawy
w gajach gęstych. Kobiety, co suknie zrzucają...
Rozkoszne! Z każdą chwilą więcej mam zabawy.
Lecz jednej z kobiet wdziękiem inne nie dostają.
Od bohaterów pewnie lub bogów pochodzi.
W toń patrzy... ciało słodki dreszcz jej rozplomienia,
zanurza stopę w przezroczyściej wodzie,
chłodzi ją pod pieśczętą jasnych fal strumienia.
Lecz... Cóż to jest za skrzydeł w krąg bijących hałas?
od plusku zamąciła się toń kryształowa.

Dziewczęta się spłoszyły, rozpierzchnęły się naraz,
spokojna pozostała tylko ich królowa.
I patrzy, naraz dumnie i kobieco-tkliwie,
jak do jej kolan tuli się łąbodzi książę
łaskawie i natrętnie... i wciąż natarczywiej...
Wtem wznosi się znad wody, by parę okrążyć,
mgiełka, tęczowym blaskiem na wskroś prześwietlona,
i na rozkoszną scenę spada jak zasłona.

MEFISTOFELES:

Jak mały jesteś, tak wielki fantasta.
Cóż nie ma być odkryte dla twojego wzroku!
Ja nic nie widzę.

HOMUNCULUS:

Wierzę! Tyś wszak wzrastał
w północnych stronach, w wieku mgły i mroku,
pośród klechów, rycerzy, trwóg i zabobonów.
Gdzież twoje oko byłoby swobodne!
Tylko w ciemności jesteś jak u siebie w domu.

Rozglądając się:

To otoczenie także wcale nie jest godne
snu, co przeczuciem w sercu śpiącego się przędzie...
nagie kobiety, gaje, strumienie, łąbędzie...
Kiedy ze snu się zbudzi, i gdzie jest, odkryje,
to go widok tej izby najpewniej zabije.
Jakże po śnie rozkosznym pogodzić się zdoła
z tym, że omszały kamień zobaczy dokoła?
że dzikie zakrętasy straszą w niszach niskich?
Ja sam to ledwie mogę ścierpieć z mej kołyski!
Zabierzmy go stąd!

MEFISTOFELES:

Co robić? Mów śmiało!

HOMUNCULUS:

Otóż, jak mi się właśnie przypomniało,
klasyczną noc Walpurgi mamy o tej porze.
Wierz mi, że nic lepszego spotkać go nie może.
Że mu taka wyprawa pomoże, to pewne.
Tam trafi na żywioły jego snom pokrewne.

MEFISTOFELES:

Pierwsze słyszę. To dla mnie wieść zupełnie nowa.

HOMUNCULUS:

Jakże też byście chcieli, by dotarła do was?
Wy znacie tylko duchy romantyczne.
Prawdziwe zjawy muszą być także klasyczne!

MEFISTOFELES:

Dokąd więc udać z nim się zamierzamy?
Bo niechęć budzą we mnie antyczne szatany.

HOMUNCULUS:

Na północnym zachodzie są twoje tereny,
lecz my na południowy wschód pożeglujemy.
Tam Penejos swobodny na wielkiej nizinie,
przez drzewa otoczony, zakolami płynie.
Nizina się rozciąga aż po górskie jary,
wyżej zaś jest Farsalos, i nowy, i stary.

MEFISTOFELES:

O, biada! Niech odłożą przynajmniej na potem
wieczne o niewolnictwo i tyranie spory.
Mnie to nudzi; bo ciągle biorą się z powrotem
do spraw, co rozstrzygnęli niby do tej pory.
Nikt nie widzi, że sprawka to Asmodeusza,
który tkwi za tym wszystkim i do zwad ich zmusza.
Choć mówią, że o prawo wolności się wadzą –
to są kłótnie pomiędzy służbą a czeladzią.

HOMUNCULUS:

Ludziom naturę ich krnąbrną pozostaw.
Niech bronią, jak umieją, zaciekle swych postaw.
Chłopiec dopiero w walce mężczyzną się stanie.
Mniejsza z tym. Jak go leczyć – oto jest pytanie.
Wypróbuj swoje środki, na co jeszcze czekasz.
Jeśli zaś nie pomogą – mnie tę sprawę przekaż.

MEFISTOFELES:

Spróbować paru sztuczek pewnie by się dało.
Lecz zamknięte przede mną są tereny pogan.
Grecy od zawsze warci byli mało.
Was olśniewa grą zmysłów wolną Grek-arogant,
który wabi grzechami wesołymi duszę.
Naszymi, posępnymi, nikt się nie zachwyca...
Cóż teraz?

HOMUNCULUS:

Sprytny jesteś, to ci przyznać muszę.
A jeśli o tesalskich mówię czarownicach,
to czy posłuchać warto by mnie było?

MEFISTOFELES:

Wiedźmy z Tesalii! Oto są osoby,
o których dawno mi się już marzyło.
Co nocy miewać z nimi do czynienia, to by

mniej odpowiadało memu gustowi.
Lecz jako goście? To o wiele prościej!

HOMUNCULUS:

Owiń

w płaszcz swój naszego rycerza.
Na tej płachcie będziecie
przestrzenie przemierzać.
Ja przodem poświecę.

WAGNER z *przestrachem*:

A mnie też weźmiecie?

HOMUNCULUS:

Nie. W pergaminach starych i pomiętych
nadal przepisów szukaj, czytaj je, poprawiaj,
według nich gromadź życia elementy
i je ostrożnie jedno do drugich dodawaj.
Myśl o tym, CO, lecz bardziej o tym JAK.
Ja, zwiedzając gór szczyty albo mórz odmęty,
odkryję rzeczy sedno, najważniejszy znak.
Wtedy cel wielki będzie osiągnięty.
Na nagrodę dążenie takie zasługuje:
złoto, cześć, długie życie, może cnoty, wiedza...
Żegnaj!

WAGNER *zasmucony*:

Żegnaj mi, synu! Już cie oplakuję,
bo że cię już nie ujrzę, serce mnie uprzedza.

MEFISTOFELES:

Teraz zmierzajmy nad Penejos wprost!
Pana kuzyna bym nie lekceważył.

Ad spectatores:

W końcu od takich stworzeń zależy nasz los,
które istnieniem nasz czyn był obdarzył.





MIEJSCE AKCJI ZMIENIA SIĘ ZUPEŁNIE

Zamknięte altany opierające się o rząd skalnych jaskiń. Cienisty gaj otoczony przez strome skały. Faust i Helena nie są widoczni. Chór, podzielony, leży w krąg, pogrążony we śnie.

FORKIDA:

Jak długo śpią dziewczęta, tego nie wiem ja.
Czy im się śniło to, co oglądał mój wzrok

tak jasno i wyraźnie, to mi nieznane jest też.
Więc je zbudzę. Niech się dziwią – dziwcie się i wy,
co wyczekująco siedzicie niżej tam –
widząc, jak się wypełnił ten do wiary cud.
Chodźcie! chodźcie! Wypędźcie ze swych oczu sen,
loki swoje strząśnijcie, i słuchajcie mnie!

CHÓR:

Mów, mów, prędko opowiadaj, co się niezwykłego dzieje.
Słuchamy najchętniej tego, w co uwierzyć nie możemy!

FORKIDA:

Ledwie-ście oczy otworzyły, a już się nudzicie, dzieci?
Więc słuchajcie: w tych jaskiniach, w grotach tych i wśród tych altan
skryli się ze swą miłością, niby idylliczna para,
władca nasz i nasza pani.

CHÓR:

Gdzie? Tam, w środku?

FORKIDA:

Oddzieleni

od świata, mnie jedynie wezwali do cichych posług.
Wyróżniona, byłam z nimi, chociaż, jak się zaufanej
godzi, nie patrzałam na nich, wciąż się tu lub tam zwracałam,
odchodziłam, by ziół szukać, których dobrze znam działanie.
I tak wiele byli sami.

CHÓR:

Mówisz, jakby się tam mogły w środku całe światy mieścić;
lasy, łąki, źródła, stawy. Cóż za bajki opowiadasz!

FORKIDA:

Owszem, wy niedoświadczone! Tam są niezbadane głębie,
wiele sal, wiele dziedzińców. Myślałam je wyszukiwałam.
Ale wtem poniosło echo śmiech wesoły poprzez groty,
patrzę, a to od kobiety do mężczyzny skacze chłopiec,
od ojca do matki biegnie, pieszczoty i figlowanie,
miłosne przekomarzanie, szczęścia krzyki, żarty, śpiewy
na przemian mnie ogłuszały.
Nagi, geniusz, lecz bez skrzydeł, faun, lecz bez zwierzęcości,
skacze on po twardej ziemi, ale ziemia przeciwdziała,
i odbija go w powietrze, a on drugim, trzecim skokiem
do sklepienia aż dotyka.
"Skacz, skacz, z lękiem woła matka. Skacz bez przerwy, ile pragniesz,
ale strzeż się przed lotami, wolny lot ci jest wzbroniony!"
Napomina drogi ojciec: "W ziemi szybkość jest i siła,
która naprzód cię popycha; wciąż dotykaj stopą ziemi,
żebyś przez nią, jak syn Ziemi, jak Anteusz, był wzmacniany."
I tak skacze on po skałach, z jednego skalnego progu

na następny, niczym piłka, odbijana silnie, zręcznie.
Ale naraz w rozpadlinę, w ciemną przepaść się zapada,
znika... Wszyscy myślą: zginął! Ojciec tuli matkę w płaczu.
A ja drżąc, w lęku stoję. Lecz – cóż za zjawisko naraz!
Czy tam skarby są ukryte? Kwietną i bogatą szatą
okrył godnie swoje ciało.
Chwaściki spływają z ramion, przy piersi fruwią wstążki,
złotą lirę trzyma w dłoni, całkiem jak malutki Febus.
Wdzięcznie do nawisu skały się przybliża. W zachwyceniu
my stoimy. A rodzice padną sobie wnet w ramiona.
Jakże lśni mu wokół głowy! Czego blask to – trudno zgadnąć:
czy ozdoba to, czy raczej – płomień siły jego ducha?
Przez swe pozy pokazuje, jako chłopiec już, że przyszył
mistrzem tego jest, co piękne; że mu członki poruszają
wieczne, słodkie, ach, melodie; i tak wy go usłyszycie,
i będziecie w niego patrzeć w zadziwieniu i w zachwycie.

CHÓR:

Nazywasz cudem to,
ty, córo Krety?
Poetów uczących słów, czy nie słyszałaś nigdy?
Nie słyszałaś nigdy jońskich,
nie słyszałaś i helleńskich
mrocznych sag, prastarych legend,
pełnych bohaterów, bogów?

To wszystko, co się nam
w tych dniach przydarza,
naśladownictwem jest
wspaniałych przygód przodków.
Nie umywa się opowieść
twoja do kłamstw słodkich,
a od prawdy prawdziwszych,
o synu Mai śpiewanych.

Tłum klaszczących piastunek
spowija w lekkich pieluch puch
to delikatne, silne, choć
ledwie porodzone niemowlę;
kosztownościami zdobi je.
A on, szelma, swe miękkie,
ale gibkie członki
przeciąga i wygina;
purpurową, a lekko
cisnącą łupinę
pozostawia na miejscu dawnym;
podobny gotowemu motylowi,
który ze sztywnej poczwarki
wyśliznął się, i skrzydła rozkłada,
i śmiało słońcem prześwietlony eter

przecina jego śpieszny lot.
Tak i on, Lekki i Najchyższy,
demonem niech będzie przychylnym
szelmom, złodziejom,
zysku szukającym,
Już się do dzieła swego bierze,
swe sztuki zręcznie do tego stosując.
Szybko trójzab władcy morza
kradnie; potem Aresowi
chytrze z pochwy miecz wyciąga,
Febusowi łuk i strzały,
i obcęgi Hefajstosa.
Nawet Zeusowi, ojcu, piorun
wziąłby, bo go ogień nie odstrasza;
lecz Erosa też zwycięży –
w nogach mocny jest – w zapasach.
I Cyprydzie też rabuje,
gdy go pieści, złoty pasek.

Z grotu dochodzi melodyjna gra na cytrze. Wszyscy słuchają, po chwili zdają się być wewnętrznie poruszeni. Odtąd aż do zaznaczonej pauzy, z pełnobrzmiącą muzyką.

FORKIDA:

Precz odrzućcie wasze baśnie
i słuchajcie słodkich brzmień.
Starych bogów gwiazda gaśnie,
kryje ich przeszłości cień!

I nikt już się nie pokusi,
żeby wasz zrozumieć głos,
bo pochodzić z serca musi
to, co ma do serca dojść.

Wycofuje się ku skałom.

CHÓR:

Jeśli ciebie, ty istoto
straszna, też muzyka wzrusza,
to pod dźwięków tych pieszczotą
nam do płaczu mięknie dusza!

Niech blask słońca zniknie jasny,
gdy się w duszy świt pojawia.
Znajdujemy w sercach własnych
wszystko, czego świat odmawia.

Helena, Faust, Euforion w wyżej opisanym kostiumie.

EUFORION:

Gdy słuchacie moich piosnek,
gdy patrzycie, jak ja skaczę,

rozśpiewane i radosne
serce w waszych piersiach skacze!

HELENA:

Miłość, by dać ludziom rozkosz,
wiąże ich w szlachetną parę;
euforię poznać boską
można tylko Trojga darem.

FAUST:

Nasz, twój, moja – to jest tkliwej
ach, przynależności stan.
Zjednoczeni tak prawdziwie
nie pragniemy żadnych zmian.

CHÓR:

Wzrok wzruszenie nam zaszklilo...
błogie szczęście wielu lat
buzię chłopca rozjaśniło,
na rodziców blask z niej padł.

EUFORION:

Dajcie mi w górę
skakać wysoko,
wzwyż, hen, ku chmurom
i ku obłokom!
Żądza latania
ogarnia mnie.

FAUST:

Zachowaj umiar,
nie bądź zuchwały!
Żebyś nie runął
w przepaść ze skały.
Nasz syn kochany
w nieszczęście brnie.

EUFORION:

Nie chcę już więcej
ziemskiej pokory!
Pośćcie me ręce,
pośćcie kędziory,
przecież są moje!
Chcę wzwyż się piąć!

HELENA:

Synku, do kogo,
pomyśl, należysz?
Czekamy z trwogą

co ty zamierzysz.
Trwajmy we troje,
ostrożny bądź!

CHÓR:

Ach, jak się boję
o trojga los!

HELENA I FAUST:

Okiełznaj, poskrom
swe siły młode!
Patrzymy z troską
na twą swobodę,
jak z każdą chwilką
w górę się pniesz!

EUFORION:

Wzgląd na was tylko
wstrzymuje mnie!

Przemykając się przez chór, i pociągając go do tańca:

Lekko tańczę, przemyskam
między nimi, w ich kręgu.
Czy to dobra muzyka,
czy mam w ruchach dość wdzięku?

HELENA:

Tak! Wiedź sznur pięknych dziewcząt,
niech się w tańcu przemieszczą
na wskroś rzędów i wzdłuż!

FAUST:

A mnie brak przekonania
dla tych harców, fruwania.
Byłoby po nich już!

Euforion i chór, tańcząc i śpiewając, poruszają się w przenikających się rzędach.

CHÓR:

Gdy tyle wdzięku masz
w członkach foremnych,
jak kwiat jest twoja twarz
wśród loków ciemnych;
tak lekko stopa twa
ziemię potrąca,
twój bieg pośpieszny trwa,
w tańcu bez końca.
Cel osiągnąłeś już,
chłopcze nasz śliczny,
przychylność serc i dusz
zdobyłeś licznych!

Pauza.

EUFORION:

Was jest tak wiele,
wy sarny chyże!
Do zabaw śmielej
chodźcie tu bliżej.
Ja jestem łowcą,
zwierzyną – wy!

CHÓR:

Biegać nie musisz,
by nas dogonić!
Każda się skusi,
żeby na koniec
objąć twą postać
ramieniem swym!

EUFORION:

W ustronne gaje!
Ku zboczom stromym!
Niech się nie daje
żadna poskromić!
Co lekko zyskać –
przed tym się wzdragam.
Cieszy zdobyte
wśród walk i zmagień!

HELENA I FAUST:

Jakież harce oszalałe!
Nie ma w tym opamiętania!
Krzyki pośród skał rozbrzmiały,
lasem płyną i doliną.
Jakiż hałas! Echo gonitw!

CHÓR *prędco pojedynczo wychodząc:*

Lekko, zwinnie nas wyminął,
lżąc z pogardą nas i drwiną!
Wybrał spośród nas jedyną
która mu się dziko broni.

EUFORION *przynosząc młodą dziewczynę:*

Z tłumu właśnie tę unoszę,
wbrew jej woli pierś jej gniotę.
Oto moje są rozkosze!
Na to właśnie mam ochotę!
Chcę całować tę oporną,
tę przymuszać do upojen.
Znajcie moją niepokorną
wolę! Znajcie siły moje!

DZIEWCZYNA:

Puść mnie! Zostaw! W moim ciele
także siła ducha mieszka!
Wolę równo z tobą dziele,
mnie zniewolić – sprawa ciężka!
Sądzisz, że mnie pochwyciłeś?
Trzymaj mnie, a ci pokażę,
że przeceniasz własną siłę.
Zaraz, głupcze, cię poparzę!

Plomieniem unosi się w górę.

Za mną! dąż, gdzie powiew wonny!
Za mną! dąż do grot ustronnych!
Goń, goń! echo dawnych zdarzeń!

EUFORION *strącając ostatnie płomienie*:

Wokół mnie leśny gąszcz się zwarł,
brakuje mi swobody.
Cóż, że zbyt ciasno mi wśród skał?
Jestem silny i młody!
Wiatry pędzą i szumią,
gnają i huczą fale.
Dale ich głosy tłumia,
chcę blisko nich się znaleźć!

Coraz wyżej skacze po skalach.

HELENA, FAUST I CHÓR:

Jeśli chcesz równać się giemzom chyżym,
nikt od upadku cię nie ocali.

EUFORION:

Ja muszę wspinać się ciągle wyżej!
Ja muszę patrzeć moc coraz dalej!
Gdzie jestem, teraz wiem!
Pośrodku wyspy tkwię!
To jest Pelopsa kraj³⁵:
wśród morza ziemi skraj.

CHÓR:

Nie nęcą cię las, wzgórza,
spokojny, cichy czas?
Stok się w lesie wynurza,
i winorośli pas.
Rosną na zbocza skraju
figi, jabłonie tam.
W pełnym słodocy kraju
pozostań słodki sam!

35 Czyli Peloponez, którego nazwa po grecku znaczy: wyspa Pelopsa.

EUFORION:

Śnią wam się więc pokoju dni?
Kto pragnie ich, niech o nich śni!
Wojna! To hasło na które ja stawiam!
Zwycięstwo! Tak się je dalej wymawia!

CHÓR:

Ten, kto w pokoju dnie
chce wojny, walk, zawiei,
na dobre odciął się
od wszelkiej już nadziei.

EUFORION:

To ten kraj w każdej porze
rodził ich wśród zagrożeń,
na wolność, męstwo, gniew
trwoniących własną krew.
Niech święty, wciąż w nich wrzący,
nieprzytłumiony zmysł
natchnie wszystkich walczących,
zwycięstwo da im dziś.

CHÓR:

Choć się tak wysoko dostał,
małym się nie zdaje z dołu!
Jakby szedł do zwycięstw prosto!
Jakby zbrojny w spiż i olów!

EUFORION:

Mury, wały się rozlecą!
Każdy jest sam siebie świadom.
Piers mężczyzny jest fortecą,
co go chroni przed zagładą.
Być nie chcecie zwyciężone?
Idźcie wrogom więc naprzeciw,
bądźcie jak szczep Amazonek,
i niech mężne będą dzieci.

CHÓR:

Poezjo, święty śnie
co wzwyż się, w niebo, pnie,
jak najjaśniejsza z gwiazd
swym blaskiem kusz nas.
Oddalasz ciągle się,
lecz wciąż słyszymy cię,
cieszymy się z twych fraz!

EUFORION:

Nie chłopcem się wśród was zjawiłem –
młodzieniec w zbroi tu przyszedł,

który się staje przez ducha siłę
wolnych i śmiałych towarzyszem.
Odważnie teraz!
Już się otwiera
szlak, skąd zew sławy słyszę!

HELENA I FAUST:

Ledwie w życie go wydano
w dniu pogodne i promienne –
na zawrotnym szczycie stanął,
skąd otchłanie wabią ciemne.
Chór naszych błagań
też nie pomaga.
Nic ci nie znaczą więzy wzajemne?

EUFORION:

Czy nie słyszycie grzmienia od morza?
Huk z dolin już je zagłusza.
Bój obejmuje armie jak pożar,
prą w przód i giną w katuszach.
Bo śmierć tym razem
będzie nakazem.
Pojąć to trzeba, nim się w bój rusza!

HELENA, FAUST I CHÓR:

Dla nas czas grozy i trwogi nadszedł.
Więc jest ci śmierć przykazaniem?

EUFORION:

Mam tylko z dali na walkę patrzeć?
Nie! Ich znój moim się stanie.

CI, CO POPRZEDNIO:

W butę, w wojnę wiara
zły los przepowiada!

EUFORION:

U ramion mi para
skrzydeł się rozkłada!
Tam muszę, gdzie się
armia potyka.
Pozwólcie mi na lot!

*Rzuca się w powietrze, szaty niosą go przez moment, jego głowa lśni blaskiem, ogon światła
ciągnie się za nim.*

CHÓR:

Wnet wzwyż się wzniesie!
O, Ikar, Ikar!
O, nieszczęść splot!

*Piękny chłopiec spada do stóp rodziców, wydaje się, że w martwym rozpoznaje się znajomą postać;
ale cielesne znika natychmiast, aureola, jak kometa, wznosi się ku niebu, i tylko suknia, płaszcz i
lira pozostają na ziemi.*

HELENA I FAUST:

Nim szczęśliwi się spostrzegą,
los ich radość w rozpacz zmienił.

EUFORION:

Nie zostawiaj mnie samego,
mamo, mnie w krainie cieni!

Pauza.

CHÓR *śpiew żalobny*:

Ach, sam nie chcesz iść w świat cieni...
Każdy wierzy, że cię zna!
Choć odszedłeś z naszej ziemi,
ciągle jesteś bliski nam.
Los śpiewamy twój jak sagę,
lecz brzmi radość, nie płacz w niej,
bo wdzięk miałeś i odwagę,
tak w złe, jak i w dobre dnie.

Ach, w młodości swej rozkwicie
pukasz do nicości wrót –
dumnie odrzuciłeś życie,
szczęście, przyszłość, tyle cnót:
wzrok, co przeszył świat i obiegił,
i szlachetny duszy zew,
miłość najpiękniejszych kobiet,
i twój własny w sercu śpiew.

Ale nic nie mogło sprawić,
byś szalony wstrzymał bieg,
żebyś się pogodził z prawem,
z obyczajem tarć się strzegł.
W końcu twa odwaga ciężar
uzyskała przez czyn twój:
chciałeś podbić świat, zwyciężyć,
lecz przegrałeś szczytny bój.

Kto tę walkę wygrać może?
Nie chce zdradzić tego los,
kiedy milknie w nieszczęść porze
krwawiącego ludu głos.
Lecz składajcie pieśni nowe,
niech was nie przygina ból:
ziemia mity zrodzi znowu,
bo mit to jest ziemi sól.

Pełna pauza. Muzyka milknie.

HELENA *do Fausta*:

Dawne przekonanie, że Szczęście i Piękno
na trwałe się nie łączą, spełnia się i na mnie.
Zerwane są więzy, jak życia, tak miłości.
Opłakując je, z bólem mówię ci: żegnaj,
i po raz ostatni rzucam ci się w ramiona.
Persefono, mojego chłopca przyjmij, i mnie.

Obejmuje Fausta, cielesne znika, suknia i welon zostają mu w ramionach.

FORKIDA *do Fausta*:

Trzymaj to, co ze wszystkiego ci pozostało.
Nie puszczaj sukni. Już targają skraj
jej demony, które by chciały ją
porwać do świata podziemi. Trzymaj ją!
Boginią to już nie jest, tę utraciłeś,
lecz boskie jest to. Służyć ci będzie
nieocenienie. Uniesie cię w górę;
będzie cię ponad wszelką pospolitością
niosło przez eter, jak długo żal twój będzie trwał.
Zobaczymy się znowu, lecz daleko stąd.

Szaty Heleny roztapiają się w chmury, otaczają Fausta, unoszą go w powietrze i przeciągają z nim.

FORKIDA *podnosi z ziemi suknię, płaszcz i lirę Euforiona, wychodzi na przód sceny, unosi je w górę i mówi*:

Jeszcze szczęśliwie znalezione!
Świat stracił może parę mrzonek,
gdy baśń urwała się, i płomień zgasł.
Lecz dość jest dla poetów tego na przynętę,
żeby zawisć w ich cechu licznym siał.
Co prawda, nie ja mogę obdarzać talentem,
lecz schowam choć tę lirę, i suknię, i płaszcz.

Siada pod kolumną na scenie.

PANTALIS:

Teraz prędko, dziewczęta! Zrzuciłyśmy czar,
którym tesalskiej wiedźmy niewolił nas duch.
Bezladnego brzdąkania zamęt tonów wszak
nie tylko ucho myli, też wewnętrzny zmysł.
W dół, w dół, do Hadesu! Poszła tam Królowa
z powagą, dumnym krokiem. Waszym stopom też
godzi się wiernie dążyć po śladach jej stóp.
Znajdziemy ją u tronu, ach, Niepoznawalnej.

CHÓR:

Królowe, prawda, wszędzie chętnie idą;
w Hadesie także stoją wyniesione,
są otoczone tymi, co im są równi,
też Persefonie bliskie i pokrewne.
Ale my skryte
w głębi łąk asfodelowych,
pośród wysokich topoli,
otoczone jałowymi polami –
jakąż rozrywkę my będziemy mieć?
Popiskiwać niczym nietoperze,
nieprzyjaźnie, potępieńczo szeptać.

PANTALIS:

Kto nie zdobył imienia, ani chce szlachectwa,
roztapia się w żywiołach; zostawcie mnie więc.
Być przy mojej Królowej, tego tylko chcę.
Nie tylko zasługa, też wierność czyni nas osobą.

Odchodzi.

WSZYSCY:

Jesteśmy zwrócone dziennemu światłu,
bez postaci, co prawda,
to czujemy, wiemy;
lecz do Hadesu nie wrócimy nigdy.
Wiecznie żywa Natura
do nas, duchów, prawa sobie
rości, a my do niej.

JEDNA CZĘŚĆ CHÓRU:

My w szeptaniach, szmerach, drganiach i szelestach
tych gałęzi, my spieniamy życia źródła, wzdłuż korzeni
do gałęzi; i to liśćmi, to pąkami, za obficie i za hojnie
ozdabiamy wiotkie witki, by w powietrzu pięknie kwitły.
Gdy dojrzały owoc spada, zbiera lud się, zbiera trzoda,
by go podnieść, by łąsować; śpieszą, tłoczą się, krzątają.
I jak przed pierwotnym bożkiem, tak schylają się przed nami.

INNA CZĘŚĆ:

My przylgniemy do tej gładkiej, lśniącej niby lustro ściany
skalnej, nasze poruszenia są łagodne niczym fale.
I słuchamy dźwięków wszystkich, ptasich treli, w trzcinach grania,
czy strasznego głosu Pana. A odpowiedź mamy zawsze.
Gdy coś szepcze, my szepczemy, na grzmot się toczymy grzmotem,
podwajając, potrajając jeden grzmot, zdziesięciokrotniejąc.

TRZECIA CZĘŚĆ:

Siostry! My śpieszymy dalej, wzdłuż strumieni i z ich prądem,
bo nas wabią ciągle dale, pełne wzgórz zielenią zdobnych.

Ciągle w dół i w głąb płyniemy meandrami, nawilżając
to pastwisko, to znów łąkę, dalej ogród wokół domu.
Tam wynosi ponad pejzaż cyprys swoją smukłą postać,
ponad brzegiem, lustrem wody pragnie zetknąć się z eterem.

CZWARTA CZĘŚĆ:

Tam unoście się, gdzie chcecie. My tymczasem owiewamy
to zieleniejące wzgórze, gdzie winorośl zasadzono.
Tam przez wszystkie dnia godziny niezbyt pewne powodzenie
starań, prac winogradników, ich wysiłek oglądamy.
To z siekierą, to z łopatą, ze ścinakiem, ze sznurkami,
modlą się do wszystkich bogów, najbardziej do boga słońca.
Bakchos troszczy się niewiele, zniewieściały, o swe usługi.
W grotach chłodnych i altanach z młodym faunem się zabawia,
zaś to, czego mu potrzeba, pół-odurzeń do snów, marzeń,
to dla niego w workach, dzbanach, w beczkach przechowują zawsze
pod ścianami chłodnych piwnic. Tego nigdy mu nie braknie.
Helios działał tu najwięcej, ale wszyscy też bogowie:
wiejąc, grzejąc, wilgotniejąc. Róg napełnił się gronami;
gdzie pracował winogrodnik, nagle płonie, nagle żyje,
w każdej szemrze winorośli i szeleści wokół pędów.
Kosze skrzypią, wiadra dzwonią, pełne kadzie postępują,
wszystko spływa w wielką beczkę.
I tak ciężkich gron obfitość, które są brzemienne sokiem,
jest tłoczona, jest zgniatana, i miazdżona jest bluźnierczo.
Teraz rozdierają uszy dźwięki miednic, mis, cymbałów,
bo oto się w tym misterium odkrył naraz sam Dionizos.
Kozionodzy, kozionogie potykając się z nim idą.
Niczego nie oszczędzono! Pazurami obyczaje
drą i depczą; zataczają zmysły się i głuchnie ucho.
Pijani szukają dzbanów, brzuchy, głowy przepełnione,
tumul jeszcze zwiększa tylko ten i tamten zatroskany,
bo szybko, by moszcz zlać nowy, opróżnia się stare dzbany.

*Kurtyna opada, Forkida na scenie wyprostowuje się i ogromnieje, schodzi jednak z koturnów,
odkłada maskę i welon, i pokazuje się jako Mefistofeles, żeby, o ile to konieczne, w epilogu sztukę
skomentować.*